

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 25 września 1909. Nr. 39.

Tygrys na ulicach miasta.

(Treść na str. 2).



Nr. 38. „Nowości illustrowanych“ zawiera: Obstrukcya ruska. — Kanclerz niemiecki w Wiedniu. — Wybryk natury. — Po manewrach cesarskich. — Pożegnanie kapłana-patryoty. — Nowa sokolnia. — Zgon wybitnego urzędnika. — Przeniesienie cenionego kolejarza. — Z dziedziny awiatyki. — Jubileusze strażackie.

OD ADMINISTRACYI.

Ponieważ z numerem niniejszym kończy się trzeci krwałtał, przypominamy zatem Szanownym naszym P. T. Abonentom, że

!Czas odnowić przedpłatę!

W tym celu do numeru dzisiejszego dołączamy dla wszystkich naszych galicyjskich Abonentów przekazy pocztowe i prosimy o nadsyłanie przedpłaty według wydrukowanego na przekazie adresu:

Administracya „Nowości Illustrowanych" Kraków.

Prenumerata do końca roku wynosi już wraz z przesyłką pocztową **tylko 4 korony.**

W Królestwie Polskiem i Cesarstwie Rosyjskiem

można pismo nasze prenumerować we wszystkich tamtejszych księgarniach tak w Warszawie jak i na prowincyi, lub też nadsyłać prenumeratę wprost do naszego głównego zastępcy

Biuro G. Ungra, Warszawa, Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata do końca roku wynosi tylko 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Prenumeraty z Królestwa nie należy nadsyłać do Krakowa, gdyż ekspedycya pisma odbywa się dla Cesarstwa i Królestwa z Warszawy.

Wszyscy nowo przystępujący prenumeratorzy **otrzymają zupełnie bezpłatnie** początki trzech nowych powieści, drukujących się obecnie w naszem piśmie, a to:

Szpieg X. 323.
Który z nich?
Wydrążona igła.

! Czas odnowić przedpłatę !

Tygrys na ulicach miasta.

(Do illustracyi tytułowej).

Widownią wstrząsających scen były przed kilku dniami ulice Marsylii. Oto pojawił się tam straszny gość, w postaci potężnej tygrysicy.

Zwierzę to przywieziono do Marsylii, do bawiącej tam menażeryi. W chwili, gdy klatkę z tygrysicą wyładowywano z okrętu celem przewiezienia jej do miasta, nadbiegł w tę stronę spłoszony koń. Widok ten tak rozjuszył dzikie zwierzę, iż rozbiło druty klatki i uciekło w ulice miasta. Zaraz u wstępu do Marsylii rzucił się tygrys na jednego z przechodniów i ciężko go pokaleczył, poczem pobiegł głębiej w ulice miasta.

Publiczność oraz policyanci rozpoczęli za nim pościg, strzelano doń z rewolwerów, ciskano kamieniami, ale wszystkie usiłowania były daremne. Zwierzę wymykało się z rąk ścigającego tłumu, aż po dwu przeszło godzinach wpadło do parku miejskiego. I dopiero tam udało się uzbrojonym strażnikom dojść tak blisko, iż położyli rozjuszoną tygrysicę trupem.

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia straszną chwilę, gdy tygrys po ucieczce z klatki pokaleczywszy przechodnia, rzuca się do ucieczki.

Przyjazd Węgrów do Lwowa.

Mimo oburzającej uchwały kongresu lekarskiego w Peszcie, wykluczającej formalnie lekarzy polskich z udziału w prezydyum, węzły przyjaźni pośród obu narodów ujawniają się przy każdej sposobności. Ubiegłej niedzieli zjechali do Lwowa członkowie atletycznego klubu w Koszycach, by tutaj rozegrać partyę piłki nożnej z członkami lwowskiego klubu sportowego „Pogoń I.", który niedawno bawił w Koszycach i tam stawał do takiejże partyi z tamtejszym klubem. Przyjazd gości w celach sportowych przemienił się w manifestacyę serdeczną na cześć narodu węgierskiego.

Rano na dworcu kolejowym zebrały się tłumy publiczności. Gości powitali pp. Maksymilian Dudryk w imieniu „Pogoni", p. Sandorffy imieniem Klubu polsko-węgierskiego, p. Nikiforyan w imieniu galic. Towarzystwa cyklistów. Odpowiadali w imieniu gości dr. Kayser i Barthay. Po dokonaniu zdjęcia fotograficznego przed dworcem, wyjechano powozami i automobilami do miasta. Niezwykły ten „pochód"



Fot. Münz Lwów.

Przyjazd Węgrów do Lwowa: Powitanie gości przed dworcem kolejowym we Lwowie.



Fot. L. Majewski, Tarnów.

Jubileusze strażackie: Odznaczony za 35-letnią działalność strażacką naczelnik Jamrowicz (X) w otoczeniu uczestników uroczystości. 1. Burmistrz Tarnowa poseł dr. Tertil; 2. prezes straży ochotniczej J. Stapf; 3 wiceburmistrz dr. Goldhammer.

poprzedzały dwa szpalery kolarzy. W mieście odbyło się śniadanie w Klubie węgiersko-polskim, gdzie wygłoszono szereg toastów na temat zgody polsko-węgierskiej. Popołudniu zaś na boisku „Pogoni“, za rogatką Stryjską rozegrał się match footbalowy



Obstrukcya ruska: Poseł dr. Eugeniusz Oleśnicki.

zakończony tryumfem drużyny węgierskiej, której licznie zgromadzona publiczność urządziła serdeczną owacyę. Na bankiecie w restauracyi hotelu Francuskiego pożegnano gości z Koszyc, którzy następnego dnia rano odjechali z powrotem do Węgier.

Demonstracya przed Sejmem.

W ubiegły czwartek zaaranżowało we Lwowie stronnictwo narodowo-demokratyczne demonstracyę na rzecz rozszerzenia dotychczasowej ordynacyi wyborczej do Sejmu. Postanowiono mianowicie wysłać gremialną deputacyę do Marszałka kraju hr. Badeniego i przedłożyć mu rezolucye, uchwalone na wiecach, zwoływanych przez to stronnictwo na prowincyi i we Lwowie. Rezolucye domagają się czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego z katastrem narodowym, rozszerzenia autonomii kraju i odpowiedzialności namiestnika Galicyi przed Sejmem galicyjskim a nie przed rządem centralnym w Wiedniu.



Fot. Münz Lwów.

Demonstracya przed Sejmem: Deputacya w sprawie reformy wyborczej przed gmachem sejmowym; na czele: 1. prezydent sądu dr. Dylewski; 2. wiceprezydent miasta Epler; 3. poseł prof. dr. Buzek; 4. poseł dyr. dr. Adam.

W deputacyi wzięli udział posłowie narodowo-demokratyczni do Sejmu i Rady państwa, reprezen



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Jubileusze strażackie: Dekoracya nadpompierów J. Chomina i J. Strugi w Przemyślu; powyżej portrety obu jubilatów.

tanci miast i powiatów oraz członkowie Rady miasta Lwowa. Deputacya zgromadziła się w sali Tow. pedagogicznego, skąd ruszono grupami do budynku sejmowego. Marszałek przyjął deputacyę i na przemówienie kilku mówców odrzekł, że dołoży starań, aby przyspieszyć sejmową reformą wyborczą.

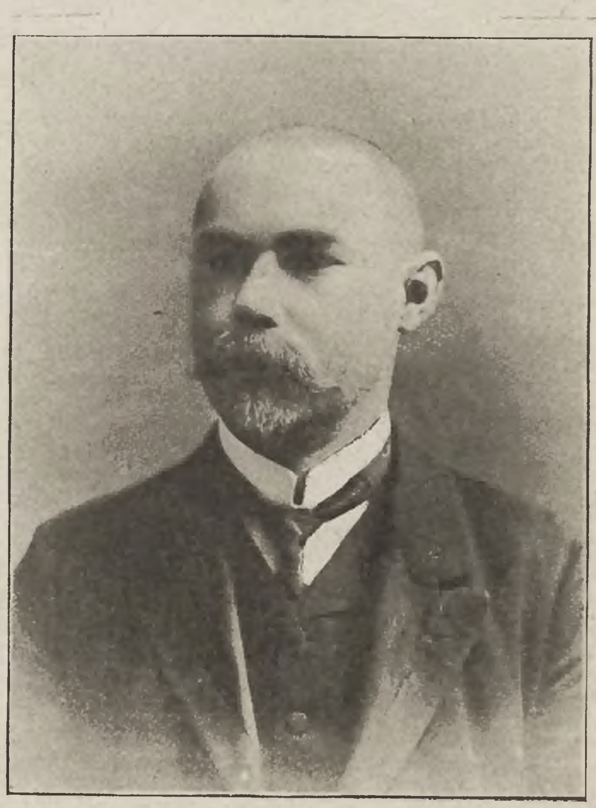
dzi zaś podziękował jubilat za zaszczytne odznaczenie i za owacyę, urządzoną mu z okazyi jubileuszu przez radę miasta Tarnowa. Na zakończenie odbyła się defilada obu straży przed reprezentacyą miasta.

W parę dni później odbyła się analogiczna uroczystość w Przemyślu. Tam odznaczeni zostali dwaj nadpompierzy miejskiej straży pożarnej Jan Chomin i Jan Strug medalami honorowymi, przyznanymi przez namiestnictwo za 25 letnią wytrwałą służbę. Po nabożeństwie w kościele Ojców Reformatów, zebrali się członkowie straży ochotniczej i straży miejskiej, urzędnicy magistratu i grono gości na podwórzu strażnicy miejskiej, gdzie naczelnik straży p. H. Olszewski dokonał aktu dekoracyi zasłużonych jubilatów.

Ryciny nasze przedstawiają grupę uczestników uroczystości w Tarnowie, oraz akt dekoracyi w Przemyślu.



Kanclerz niemiecki w Wiedniu: Dr. Teobald Bethmann-Hollweg udający się na posłuchanie do Burgu.



Obstrukcya ruska: Poseł Jan Kiweluk.

Jubileusze strażackie.

W ubiegłym tygodniu odbyła się w Tarnowie piękna uroczystość jubileuszowa. Solenizantem był naczelnik tamtejszej straży pożarnej, Mikołaj Jamrowicz, który od lat 35 z wielkim zapałem pracuje w straży pożarnej i w uznaniu swych na tem polu położonych zasług, otrzymał od strażackiego związku krajowego honorową odznakę.

Przypięcie tej odznaki połączono z uroczystością jubileuszową. Rozpoczęto ją nabożeństwem w kościele OO. Bernardynów, poczem straż pożarna miejska i ochotnicza udały się w pochodzie, ze sztandarami i muzyką na plac ćwiczeń; tam zebrali się równocześnie radni miejscy oraz zaproszeni goście, wobec których burmistrz Tarnowa, poseł dr. Tertil wręczył jubilatowi odznakę honorową, podnosząc w swej przemowie zasługi naczelnika około straży i jej rozwoju. Przemówił również prezes ochotniczej straży, architekt p. Juliusz Stapf, w odpowie-



Obsrukcya ruska: Poseł dr. Michał Korol.

Kanclerz niemiecki w Wiedniu.

Trójprzymierze, jedyny w swoim rodzaju związek polityczny, w którym tylko dwaj sprzymierzeńcy, t. j. cesarstwo Niemieckie i Austro-Węgry, są rzeczywistymi sojusznikami, a trzeci sprzymierzeniec — Włochy — pragnąłby jak najprędzej wydobyć się z tego związku, chwieje się bardzo poważnie ostatnimi czasy. Znana dobrze perfidya pruska, pod której znakiem prowadzoną jest prawie od pół wieku polityka Niemiec, sprawia, że głosi się światu, jakoby na Austro-Węgry spłynęły same tylko dobrodziejstwa skutkiem tego, że przykute zostały do rydwanu polityki, jakim kierują mężowie stanu z Berlina. Tymczasem wiadomo, że sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej i że z okazyi należenia do trójprzymierza Austro-Węgry ponoszą olbrzymie ciężary. Zawrotny wir niekończących się nigdy wydatków na cele militarne wciągnął w siebie monarchię Habsburską, tak iż nie można przewidzieć, czem zakończy się kiedyś to lekkomyślnie szafowanie groszem publicznem.

Wobec podobnej sytuacyi nie jest wcale dziwnem, że sfery kierujące w stolicy nadsprewskiej czynią wszelkie usiłowania, aby utrzymać Wiedeń w kole zaczarowanem swej polityki, która zmierza do panowania nad losami całej Europy. Tem tłomaczą się częste, a niepożądane odwiedziny, składane przez cesarza Wilhelma sędziwemu monarsze austryackiemu, to także jest powodem, że kierownicy urzędowi polityki niemieckiej zjawiają się częściej, niż tego potrzeba, w stolicy Austro-Węgier.

I znów mamy do zanotowania przyjazd do Wiednia nowego kanclerza Rzeszy, dra Bethmanna Hollwega, który puścił się tam ubiegłej niedzieli, aby przedstawić się sojusznikowi swego pana i zawiązać bliższe stosunki osobiste z hr. Aehrenthalem. Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, gdy udaje się on z hotelu Imperial na posłuchanie do Burgu. Przypominamy przy tej sposobności, że Bethmann-Hollweg, pochodzący z rodziny żydowskiej, od dawna osiadłej we Frankfurcie nad Menem, liczy obecnie 53-ci rok życia i że w ostatnim pruskim gabinecie dzierżył tekę sekretarza stanu dla spraw wewnętrznych Rzeszy. Jest to typowy pruski biurokrata, człowiek o bardzo wielce ograniczonym horyzoncie umysłowym, polityką zaś zagraniczną nigdy się nie zajmował. Być może, iż ta właśnie okoliczność poddała myśl cesarzowi Wilhelmowi, aby go uczynić kanclerzem. W ten sposób bowiem mógł mieć nadzieję, że znajdzie w Bethmannie-Hollwegu powolnego wykonawcę swych własnych pomysłów politycznych, w które, jak wiadomo, mocno obfituje.

Na jednym tylko punkcie nowy kanclerz, który ani formami towarzyskiemi, ani stanowiskiem towarzyskiem, nie dorósł, do swego poprzednika, jest doń wielce podobny, a mianowicie co do ślepej i barbarzyńskiej nienawiści względem Polaków, jaką pałał „układny“ Bülów. Dobrze przynajmniej, iż wiemy, że w Berlinie „kurs“ antypolskiej polityki się nie zmienił, choć miejsce „układnego“ ks. Bernarda zajął ordynarny pruski urzędnik.

Wizyta też tego pruskiego dygnitarza w Wiedniu ani nas nie grzeje, ani nas nie ziębi. Zanotowaliśmy ją z obowiązku dziennikarskiego, dołączając udatne zdjęcie fotograficzne, przedstawiające kanclerza pruskiego w paradnym mundurze, w chwili gdy udaje się na audyencyę do cesarza austryackiego.



Obstrukcya ruska: Poseł Tymoteusz Staruch, eks-żandarm.

PAUL d'IVOI.

SZPIEG X 323.

4 (Ciąg dalszy).

— Dziękuję: spostrzegam właśnie moją ambasadorową... Mąż widocznie nie mógł jej towarzyszyć, muszę więc ja to uczynić.

Skłonił się dwa razy, głęboko przed markizą, lżej przedenmą i oddalił się, tłomacząc:

— Proszę wybaczyć... obowiązek...

Zostałem sam z markizą, cały zmieszany. To niespodziane spotkanie, przeczucie jakiejś tajemnicy, pozbawiły mnie zwykłej przytomności umysłu.

Spostrzegła to i odezwała się z wielkim wdziękiem:

— Proszę podać mi ramię. Najlepiej w rozmowie człowiek obcy może poznać nieznane sobie towarzystwo. Poszukajmy zakątka, w którym moglibyśmy porozmawiać spokojnie.

Spełniłem jej życzenie. Uczułem jak jej drobna, delikatna rączka wspiera się na mem ramieniu, muszę jednak stwierdzić, że to nie ja, lecz ona pokierowała naszymi krokami. W pięć minut potem znaleźliśmy się w małym buduarze na końcu całej amfilady salonów, gdzie już przed nami skryły się trzy pary, prowadząc ciche rozmowy.

Towarzyszka moja pociągnęła mnie do małej kozetki w kształcie litery S. Siedliśmy i szczęściem dla mnie zaczęła sama mówić, gdyż ja niezdolny byłem do wyrażenia żadnej myśli.

— Przedewszystkiem, rzekła przyciszonym, nadzwyczaj wdzięcznym głosem, muszę panu przedstawić pańskiego przewodnika w tem nowem dla siebie otoczeniu. Jestem kobietą liczb.

— Pani! zdołałem wyjąkać.

Potwierdzenie jej zmieszało mnie do reszty. Ta „Tanagra“ kobietą liczb! Cóż to może być? Nowa tajemnica?

Roześmiała się lekko.

— Tak, tak, ja sama, liczby dla mnie są najczystszą poezyą. Każda cyfra wywołuje we mnie jakiś obraz. Tak naprzykład dwójka między dwiema trójkami wyobraża mi łabędzia, uwięzionego między dwoma urwistemi brzegami jeziora.

Zadrżałem... dwójka między trójkami, ależ to stanowi tę fatalną liczbę kasy ogniotrwałej 323.

Markiza przyglądała mi się bacznie. W jej oczach niebiesko-zielonych widoczne jawne zapytanie.

Niema już wątpliwości. To ona, o której mówił rozkaz, podany mi przed chwilą przez kapitana Markhama.

— Nikomu więcej nie byłoby mi przyjemniej okazać swą pomoc, odpowiedziałem też z głębokiem przekonaniem — będę posłuszny.

Uśmiechnęła się... prawie z wdzięcznością.

— Bez pytań?

— Tak, bez pytań.

Delikatne jej palce ścisnęły moją rękę, potem znowu przybrała tajemniczy wyraz sfinksa.

— W nagrodę opowiem panu historyę, która może jest po części dalszym ciągiem tej, którą opowiadał panu poprzednio na tarasie kapitan Markham.

— Dalszym ciągiem? — zapytałem, zbierając wszystkie swe władze, które jakby rozproszyły się się od chwili przedstawienia mnie mej czarującej towarzysce.

Znowu rozległ się jej dźwięczny, krystaliczny śmiech.

— Ach! więc pana to interesuje. Tem lepiej. Nic bardziej mi się nie podoba, jak uważny słuchacz. Przyjemniej się wtedy opowiada. Zdaje się wówczas, że talent narracyjny wzrasta i odczuwa się za to wdzięczność... Lecz ja odbiegam od tematu, a czas ucieka...

Może to tylko przypadkowy zbieg, lecz ona powtarzała mi, prawie że słowa Markhama na tarasie. On rzekł, czas jest drogi, ona — czas ucieka.

— Czy pan nie spostrzegł teraz wieczorem panny Niete de Holsbein, córki hrabiego, który nas przyjmuje?

— Istotnie, nie.

— Niech pan nie czyni sobie wyrzutów. Jeżeli pan nie widział tej miłej, młodej blondynki, to w tem niema wcale pańskiej winy. Nie ukazała się zupełnie na przyjęciu.

— Może jest chora?

— Tak oznajmił jej ojciec swym gościom... Oszukał ich jednak. Niete została porwaną dzisiaj o piątej godzinie po południu, gdy zaczynał się zmierzch.

— Porwaną... miłość?...

Moja tajemnicza towarzyszka potrząsnęła smutnie głową, potem czyniąc szybki ruch, jakby chciała odpędzić od siebie przykre myśli, odezwała się przytłumionym głosem:

— Nie, nie, niech pan tak nie sądzi. Dodam do tego, że o piątej godzinie Niete znajdowała się w pawilonie, położonym z tamtej strony ogrodu.

— Wiem, przy ulicy Zorilla.

— Tak jest. Zauważył go pan, powracając z Prado. Oddawał się pan wtedy badaniu Casa Avreda.

Spoglądałem na nią zdumiony. Skąd ona może o tem wiedzieć?

Mówiła jednak dalej:

— Pawilon ten ma tylko parter, na który wchodzi się po pięciu stopniach i składa się z dwóch pokoi, przedzielonych cienką ścianą z małemi drzwiami. Pokoje te nie mają okien na ulicę, natomiast posiadają niewielkie ganki, wychodzące na ogród. Ponad nimi znajduje się terasa, gdzie latem można odetchnąć świeższem powietrzem, niż na dole. Niete lubi bardzo ten pawilon, urządziła też sobie w nim rodzaj gabinetu. Siedziała więc na ganku, pragnąc przed zmrokiem ukończyć zaczęty haft, podczas gdy służąca jej, Concepcion, która nie opuszcza jej nigdy, czytała jakiś romans. Przejęta lekturą, znajdowała się o sto mil od Madrytu, śledząc losy książkowego bohatera, gdy naraz stłumiony krzyk zwrócił jej uwagę. Ujrzała rzecz nieprawdopodobną, jak jej młodą panią wyciągano na sznurze do góry. Zerwała się z wyciągniętemi rękami, by przytrzymać Nietę, lecz z góry, choć nie widziała tam żadnego człowieka, pryśnięto jej w twarz jakimś gryzącym płynem, od którego na chwil kilka jakby zaniewidziała. Ta chwilowa ślepota minęła wkrótce, lecz gdy Concepcion mogła rozejrzeć się w koło, Niety nigdzie nie było. Przerażona służąca pobiegła na terasę, gdyż stamtąd zwieszał się sznur, lecz i tam nikogo nie było. Zdawało się, iż tak porywający, jak i jego ofiara, rozpłynęli się jak mgła w powietrzu.

Markiza zatrzymała się na minutę, jakby chciała dać mi możność należytego przejęcia się tą historyą. Istotnie potrzebowałem odetchnąć i uporządkować swe myśli.

To śmiałe porwanie w środku Madrytu, w pobliżu najgłówniejszych arteryi miasta, dziwny sposób, w jaki go dokonano, czynił na mnie wrażenie sensacyjnego romansu. Książkę jednak po przeczytaniu odkłada się i człowiek znajduje się odrazu w normalnych warunkach życia, lecz w tym wypadku markiza nie była przecież wytworem bujnej imaginacyi, jak również i hrabia Holsbein i ta blondynka Niete, której jeszcze nie widziałem.

— I hrabia nas przyjmuje po tak strasznym wypadku?

Głos młodej kobiety stał się ostrym i suchym, gdy odpowiadała:

— Zmuszono go do tego.

— Któż mógł poddać takiemu doświadczeniu nieszczęśliwego ojca?...

Nie pozwoliła mi dokończyć.

— Niech pan wstrzyma się z sądzeniem. Powracam do swego opowiadania. Concepcion uczyniła wreszcie to, od czego winna była zacząć. Pobiegła do pałacu i opowiedziała hrabiemu, co się stało. Zaledwie jednak skończyła, gdy zjawił się przed hrabią służący z listem, przyniesionym przez posłańca. Czekał on w przedsionku, pytając się, czy będzie jaka odpowiedź. Pan Holsbein natychmiast otworzył list, w którym donoszono, co następuje:

— Jakto, szepnąłem, pani zna zawartość listu?...

— Tak!

— Wydaje mi się to niemożliwem.

— Cóż z tego, czyż nie przyrzekł mi pan posłuszeństwa bez żądania wyjaśnień?

— Tak, przyrzekłem to i do tego stosuję się.

— W takim razie proszę zadowalać się tylko tem, co sama panu powierzam.

Akcent jej słów stał się znowu łagodnym.

— W liście więc tym była następująca wiadomość: „Hrabio, córka pańska, Niete, umrze dzisiaj wieczorem, jeżeli pan nie wypełni co do joty tych żądań. Są one zresztą bardzo proste i łatwiejsze do wykonania, niż przyjęcie zwłok swego dziecka“.

— To straszne, odezwałem się mimowoli.

Udała, iż tego nie dosłyszała.

— „W starożytnej części pańskiego pałacu znajduje się Czerwony Pokój, zwany tak z powodu koloru obić, jak i kominka marmurowego, ozdobionego herbami brata Priola d'Avreda, wielkiego Jałmużnika zakonu Cystersów. W pokoju tym, na stojącym pośrodku stole z mosiężnemi inkrustacyami, położy pan między godziną dziewiątą a dwunastą w nocy, tak jednak, by nikt tego nie widział, traktat skradziony przez pana w Foreign-Office...

— Co? szepnąłem.

— ...w przebraniu robotnika murarskiego... To jest mojem żądaniem, a na znak, że będę bez litości, podpisuję się: X 323.

Tym razem nie zdolny byłem ani słowem się odezwać.

I znowu ta liczba 323.

To oskarżenie, rzucone przez moją towarzyszkę przeciw hrabiemu Holsbeinowi o skradzenie z gabinetu naszego premiera w Londynie dokumentu państwowego, zaparło mi poprostu dech w piersiach.

Cóż za przerażające odkrycia!

Markiza kończyła zupełnie spokojnie:

— Szukano tego posłańca, by odpowiedzieć mu tem jednem słowem: zgoda. Dostawca jednak tego strasznego posłania znikł, tak że służba zajęta przygotowaniami do balu, nie zauważyła zupełnie jego odejścia.

Od dziewiątej gopziny, obecnie jest już jedenasta, dokument, który mógłby wstrząsnąć spokojem całej Europy, leży stosownie do woli X 323 na stole w Czerwonym Pokoju.

Gdy chciałem wyrazić wreszcie swe zdziwienie, markiza okrągłym ruchem ręki wskazała mi, iż jesteśmy sami w gabinecie. Znajdujące się tu pary oddaliły się jedna za drugą, tak iż tego wcale nie spostrzegłem.

Podniosła się i rzekła:

— Chodźmy.

Potem podniosła jedną z portyer, pod którą ukazały się drzwi. Otworzyła je maleńkim kluczem i chwytając mnie za rękę, pociągnęła za sobą. Drzwi zamknęły się za nami.

Cóż to miało znaczyć? Na twarzy mej musiało się malować wielkie zdumienie, gdyż młoda kobieta przyłożyła palec do ust, na znak milczenia i rzekła szeptem:

— Słuchać bez pytań!

Weszliśmy na sklepiony korytarz, wyłożony szerokiemi, startemi ze starości płytami. Był to zapewne jakiś krużganek klasztorny, z mieszkaniami mnichów. Zdawało mi się, iż z półzmroku, w jakim znajdowaliśmy się, oświetleni małemi płomykami gazowemi, rozmieszczonemi na znacznej od siebie odległości, wychodzą ku nam cienie w długich habitach dawno pomarłych zakonników. Szliśmy ciągle. Wreszcie galerya załamała się na prawo i tam nagle stanąłem, zatrzymując mą towarzyszkę.

Na dziesięć kroków przed sobą, przed drzwiami, których boazerya znaczyła się czerwono wśród białych murów ścian, spostrzegłem stojącego prosto służącego w liberyi hrabiego Holsbeina.

Markiza jednak zauważyła go przedemną. Uspokoiła mnie uśmiechem i podeszła do tego człowieka.

Służący obserwował nas. Zrobił ruch, jakby chciał bronić czegoś, zaraz jednak stanął spokojnie.... Co wpłynęło na tę nagłą zmianę?

Pierwsze słowa markizy wyjaśniły mi wszystko. Poznał ją. Mimo to, scena, jaka się tu rozegrała, pozostała dla mnie na razie niezrozumiałą.

— To ty, Marco — rzekła swym melodyjnym głosem.

— To ja, pani markizo.

— Nie chciałam zwlekać z zawiadomieniem cię o szczęśliwej wieści.

Zrobiła pauzę, dając w ten sposób służącemu, niskiemu, lecz szerokiemu w plecach Hiszpanowi, o naiwnym a zarazem namiętnym wyrazie twarzy, możność wytrzeszczenia oczu i zaokrąglenia ust w formie litery O, na znak pobudzonej ciekawości.

— Ty kochasz piękną Concepcion?

— Oh! pani markize, jak Matkę Boską, z tą jednak różnicą, poprawił się, że ją chcę poślubić, a Najświętszej Panny nie spodziewam się.

Concepcion! to jest służąca młodej panny Niete, o której tragicznej historyi dopiero co dowiedziałem się. Córka szpiega, porwana przez drugiego szpiega z groźbą śmierci, zawieszoną nad jej jasną główką.

— Wiem, mówiła dalej moja dziwna towarzyszka, że chcecie oboje tyle zaoszczędzić, byście mogli założyć cukiernię na Prado.

— Niestety! małżeństwo nasze nie na jutro się szykuje... Potrzeba na to tysiąc *pesetas* (franków).

— A więc, Marco, ten pan (wskazała na mnie swą drobną ręką) i ja, przeglądając naszą kasę dobroczynną, spostrzegliśmy pozostałość w sumie tysiąca pesetów, które postanowiliśmy użyć na zapewnienie szczęścia dwojgu zakochanym... Oto jest tysiąc pesetów.

I pod oczy zdumionego służącego podniosła mały zwitek banknotów.

— Oh! senora — szeptał Marco, oh! senor!

Przepojony radością i wdzięcznością, wodził po nas oczami. Wyznam, że podziękowania tego biedaka żenowały mnie, gdyż nie miałem do nich najmniejszego prawa.

Tajemnicza jednak moja towarzyszka nie dała mu czasu do opamiętania się.

— Weź te pieniądze, Marco — rzekła mu łagodnie i nie trać ani minuty, lecz spiesz się donieść Concepcion, że wasze szczęście już jest zapewnione. Idź...

Marco potrząsł głową.

— Ach! chciałbym, ale...

— Ale co?

— Nie mogę opuścić tych drzwi.

Wskazał z komicznie znudzoną miną na czerwonawe drzwi, przed któremi stał.

— Cóż cię tu zatrzymuje?

— Rozkaz pana hrabiego.

— Ależ, co znowu?

— Nakazał mi nie spuszczać oka z tych drzwi do północy.

— Czy obawia się, by ich nie skradziono?

Służący wzruszył powątpiewająco ramionami, poczem rzekł zamyślony:

— Czy ja wiem? może i to być!

Kiedyindziej roześmiałbym się z tej odpowiedzi, domyślałem się jednak, że tutaj markiza toczy jakąś grę i życzyłem jej wygranej. Pragnienie moje miało być wysłuchane.

— Ach! tylko to?... Biegnij do Concepcion, zachęcała go łaskawie... Poczekam tu razem z senorem. W ten sposób czworo oczu będzie pilnowało drzwi i będziesz mógł zupełnie słusznie zapewnić hrabiego, że czujny wzrok nie schodził z nich przez cały wieczór.

— Pani markiza zgodziłaby się...

Przybrała czułą minę, wymawiając z melancholią, której obecna sytuacya wcale nie tłomaczyła:

— Dawać innym szczęście jest mojem przeznaczeniem...

Marco nie zauważył wcale dziwności tych słów, które zdawały się jakby okrzykiem zbolałego serca, a nie odpowiedzią na zapytanie służącego.

— Spieszę się, by skrócić czekanie pani markizy.

I rzeczywiście pobiegł szybko.

Pani Almaceda była już spokojną. Zaczęła niespodzianą rozmowę o cukierniach na Prado i o możliwości przyszłych małżonków, Marco i Concepcion, zdobycia dostatków na handlu słodyczami.

Słuchałem jej, a raczej słuchałem muzyki jej głosu. Czułem, że w tej chwili dzieje się coś, czego wytłomaczenie będzie mi odmówione, zrezygnowałem też z przyszłych swych zapytań, ciesząc się tylko z jej towarzystwa. Przypuszczałem początkowo, że towarzyszka moja dlatego oddaliła służącego, by dostać się do Czerwonego Pokoju i zabrać znajdujący się tam dokument.

Byłem jednak na błędnej drodze, gdyż nic nie wskazywało, że miała ona podobną myśl. Mówiła tylko szybko, by mówić. Widocznie mało jej zależało na tem, by mi powiedzieć coś interesującego. Zwrócony byłem plecami do drzwi Czerwonego Pokoju. Może markiza tak manewrowała bez budzenia mej podejrzliwości. iż musiałem stanąć w tej pozycyi. Nagle zdało mi się, iż słyszę poza sobą lekki szmer otwieranych ostrożnie drzwi. Chciałem się natychmiast obrócić, lecz po wszystkich dotychczasowych niespodziankach, doznałem nowej. Gwałtownym, szybkim jak błyskawica ruchem markiza wyciągnęła naprzód ręce i dłonie swe położyła mi na twarz, unieruchomiając głowę, palce zaś jej, pokrywające me uszy, zaczęły jakby bębnić przy mych skroniach, by w ten sposób niedopuścić do mego słuchu żadnych dźwięków.

Podobne postępowanie każdej innej lady uznałbym za schocking w najwyższym stopniu... Tutaj jednak na myśl mi nawet nie przyszło nazwać zachowanie się markizy niewłaściwem.

Dlaczego? nie wiem!

— Mimo rąk, które mnie więziły, zdołałem rzucić szybkie spojrzenie na lewo. Wydało mi się, iż za rogiem korytarza znika szybko postać jakiegoś mężczyzny. Markiza domyśliła się tego. Puściła mnie natychmiast i pogroziła palcem:

— Ach! niespokojny dzieciak... zmusza mnie pan do nowych wyjaśnień...

I śmiejąc się rozkosznie, co mi pozwoliło mniemać, że nie bardzo ją rozgniewałem, rzekła:

— Posłaniec, który przyniósł ten groźny list, sam był jego autorem X 323.

— On! zawołałem przestraszony, ośmielił się...

Było to najwłaściwsze określenie. Przyjść do domu człowieka, któremu przed chwilą porwało się córkę i przynieść mu groźbę jej śmierci, jest to istotnie niezwykła śmiałość. Błędne jednak widocznie miałem o tem pojęcie, gdyż markiza nie pozwoliła dokończyć mi zdania.

— Wstrzymajmy się z rozmową o śmiałości. (W słowach jej czuć było pewną dumę). X 323, czekając sam na odpowiedź, skorzystał z nieuwagi służby, czyniącej przygotowania do balu i przedostał się aż do Czerwonego Pokoju, gdzie ukrył się w obszernym kominku, zajmującym całą prawie lewą ścianę.

Słuchałem. X 323 przyjmował dla mnie rozmiary jakiegoś bohatera z bajki.

— On dobrze osądził Holsbeina. Zastawił pułapkę bolesną, nie tylko dla niego, lecz i dla wszystkich szpiegów, z którymi będzie musiał walczyć w przyszłości. Uchodzić za posiadacza daru niemożliwości, jest to straszna siła, gdyż ludzie zawsze skłonni są do wierzenia w nadzwyczajności. W przeciwnym bowiem razie rozum powiedziałby im, że *niemożliwość nie jest możliwą* i że dokonanie rzeczy, uznanej za niemożliwą, ma zawsze zupełnie proste i naturalne tłomaczenie...



Ujrzała rzecz nieprawdopodobną, jak jej młodą panią wyciągano na sznurze do góry...

Zniżając głos, jakby bała się, by nie rozszedł się on zbyt daleko, dodała:

— Widział pan, w jaki sposób X 323 opuścił Czerwony Pokój, zabierając z sobą dokument skradziony w Foreign-Office. Holsbein będzie szalony, gdy znajdzie pokój pusty i gdy mu służba powie, że nie ruszała się z swych posterunków. Mówię o słuźbie w liczbie mnogiej, gdyż drugi służący czuwa pod oknem w ogrodzie... A na myśl nawet nie przyjdzie temu ciężkiemu Niemcowi, że posłaniec, *my* i dorobiony klucz, dokonali tego wszystkiego jak najprościej.

— Więc to był X 323? zdołałem tylko zapytać.

— Tak!

— Dlaczego nie miała pani więcej ufności we mnie?... Moja prawość...

— Nie nasuwa żadnych wątpliwości — przerwała żywo — tylko X 323 nie uznał jeszcze za wskazane, by pan mógł go już widzieć.

— Już? Słowo to każe mi przypuszczać, że go ujrzę.

— I ja tak sądzę. Teraz gdy dokument powrócił do swych prawych właścicieli, bardzo jest prawdopodobnem. że będzie chciał podziękować za dyskrecyę *Timesowi* i jego korespondentowi. Lecz sza! oto Marco.

I powróciła, jakby jej wcale nie przerywała, do rozmowy o cukierniach.

Marco przybiegł zadyszany z całym potokiem podziękowań i wykrzykników.

Markiza przerwała jednak te wybuchy radości zakochanego i pociągnęła mnie znowu za sobą. Musiała znać tutaj doskonale wszystkie przejścia, gdyż zamiast powrócić do buduaru, z którego wyszliśmy, znaleźliśmy się w sali poza bufetem.

Concepcion widocznie przeczuła, że będziemy powracali tędy, gdyż niespodzianie zjawiła się przed nami i chwytając nas za ręce, zaczęła dziękować, całować, przyklękać wśród całej masy słów, w których Matka Boska, wszyscy święci, cukiernia, nasze zbawienie, jej miłość mieszały się razem w jakimś dziwnym nieładzie.

Procesye i serenady, zapach kadzidła i brzęk kastaniet, które w myślach naszych nigdy się nie łączą, u ludności Hiszpanii stanowią jakiś amalgamat, o którym pewna senora mówiła mi z głęboką wiarą mieszkanek półwyspu iberyjskiego.

— My, zwykli śmiertelnicy, mieszamy wszystko razem, dobro i zło; lecz, widzi pan, Bóg i czart są to potężni władcy, którzy u nas nie tracą nigdy swej części.

Tymczasem markiza zgodziła się, by Concepcion odprowadziła ją do garderoby, gdzie zostawiła swe okrycie i podając mi swą drobną rękę, rzekła te słowa:

— Dziękuję serdecznie panu, bez pana byłabym bardzo zakłopotana.

Żartowała ze mnie... Zakłopotana, ona!... Miałem wrażenie, że przez cały wieczór odgrywałem przy niej rolę małego chłopca.

Oddaliła się już, podczas gdy ja pozostałem na miejscu z całym nawałem myśli. Oh! nie były one nieprzyjemne. Dokument odzyskano, pokój zapewniono, Anglia zwycięska....

Szelest jakiejś rozmowy przerwał me myśli. Służba w bufecie otaczała jakiegoś lokaja w liberyi pałacowej, którego postawa i słowa wskazywały, iż przebrał on znacznie miarę w trunkach. Usługując gościom swego pana, usłużył on i sobie tak szczodrze, iż koledzy jego zebrali naradę i postanowili, by Antonino udał się do siebie, gdyż pan, gdyby go zobaczył w tym stanie, natychmiast by go odprawił. Znany jest jednak upór tych, którzy rozsądek swój utopili w pewnej liczbie kieliszków. Antonino na wszelkie rady i uwagi odpowiadał ciągle z niezachwianą stałością:

— Pan mi powiedział: Antonino, punkt o dwunastej będziesz stał z świecą w ręku w korytarzu koło małego salonu dywanowego. O północy muszę tam być ze świecą. To jest rozkaz. Jeżeli się położę, to mnie tam nie będzie, a ja nie chcę kłaść się ze świecą.

Głupiec! Miał sposobność widzieć minę hrabiego Holsbeina, gdy stwierdzi zniknięcie w niewytłomaczalny dla siebie sposób dokumentu zamkniętego w Czerwonym Pokoju.

Za tą myślą zjawiła mi się natychmiast nowa:

— Drogo zapłaciłbym, by być na jego miejscu.

Jednocześnie postanowiłem sobie:

— Muszę zająć jego miejsce... Zajmę je... Tak, lecz w jaki sposób?... Ach! prawda, Concepcion może mi pomódz. Na szczęście służąca zjawiła się wkrótce z nowym potopem słów wdzięczności, zlewając na mą głowę błogosławieństwa wszystkich mieszkańców raju za dar tysiąca pesetów.

Nie miałem najmniejszego prawa do tych dziękczynień, postanowiłem jednak wykorzystać jej uczucia dla siebie, jakoż w kilka minut potem Concepcion, podmówiona przezemnie, podała Antoninowi dwa kieliszki szampana, zmieszane z xeresem. Lokaj odrazu zapomniał o rozkazie i o swej świecy. Pozwolił wziąć się pod ręce i zaprowadzić do swego pokoju.

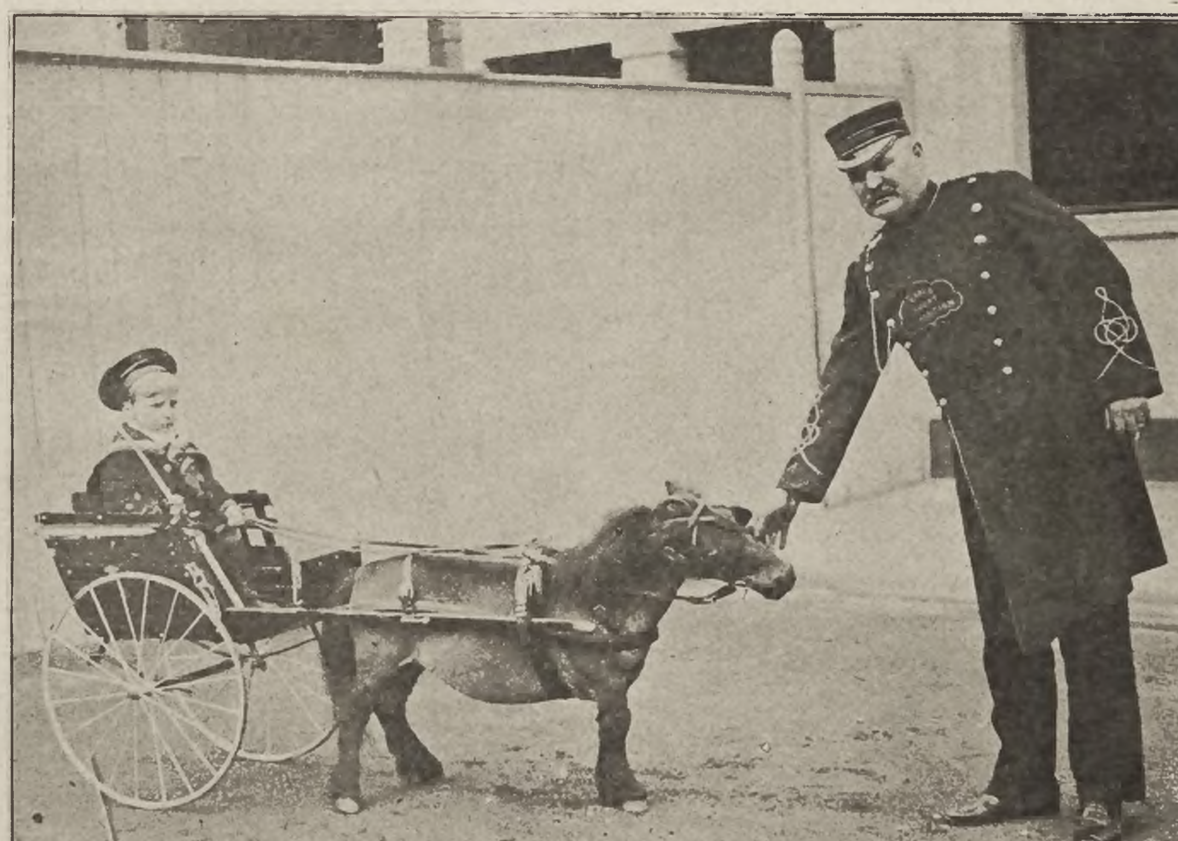
(Ciąg dalszy nastąpi).

Wybryk natury.

Poza granicami, do jakich sięga zwykle największy i najmniejszy wzrost zwierząt, zdarzają się czasami wyjątki, wprowadzające nas w zdumienie. I tak wiadomo powszechnie, że rasy koni, odznaczające się wzrostem, nie przekraczają zwykle 180 centymetrów wzrostu, licząc od podstawy kopyta do wierzchu kłębu, najmniejsze zaś konie, tj. kuce szkockie lub z wysp szetlandzkich, miewają od 110 do 120 centymetrów wysokości.

Zdarzają się jednak prawdziwe wybryki natury, jak to pokazuje załączona rycina, na której oglądamy kucyka, mającego w kłębie mało co więcej nad 60 centymetrów wysokości i zasługującego temsamem na miano najmniejszego na świecie konia.

Kucykiem tym produkuje się jeden z cyrków w Nowym Jorku, sprawiwszy dlań miniaturowy ekwipaż, którym powozi ku wielkiej radości „milusińskich“, cyrk odwiedzających, kilkuletni chłopczyk. Kucyk ten, jak widzimy na rycinie, zbudowany zupełnie normalnie, jest należycie rozwinięty i liczy obecnie 3½ lat wieku.



Wybryk natury: Najmniejszy koń na świecie.



Po cesarskich manewrach: Generał Versbach.

Pożegnanie kapelana-patryoty.

Gniazdo sokole w Stanisławowie pożegnało niedawno z szczerym żalem swojego kapelana, bardzo gorliwego członka „Sokoła“ i gorącego patryotę, ks. Stanisława Mindowicza, który został przeniesiony do Tarnopola i musiał opuścić Stanisławów.

A nietylko „Sokół“ stanisławowski żegnał go z żalem, lecz całe tamtejsze społeczeństwo polskie, wśród którego ks. Mindowicz zdobył sobie wielką i niekłamaną sympatyę swym charakterem czystym i otwartym, szlachetnością postępowania i gorącym patryotyzmem.

Nie było w Stanisławowie obchodu narodowego, nabożeństwa, zebrania, w któryćhby ten czcigodny kapłan nie uczestniczył. W swych kazaniach i przemowach, natchnionych miłością ojczyzny, zagrzewał lud wiejski, mieszczaństwo i młodzież do pracy nad odrodzeniem narodu a wymowne jego usta przyczyniły się niemało do rozbudzenia ducha narodowego na wschodnich kresach.

To też kiedy nadeszła przykra chwila rozstania się z ukochanym kapłanem, zebrał się nietylko wydział „Sokoła“ stanisławowskiego, ale i przedstawiciele innych towarzystw polskich, by oddać hołd zasługom ks. Mindowicza i pożegnać się z nim.

Grupę uczestników pożegnania, przedstawia nasza rycina.

Przeniesienie cenionego kolejarza.

W ubiegłym tygodniu opuścił Kraków po kilkuletnim tu pobycie p. Hugo Hudetz, naczelnik ruchu na dworcu kolei państwowej w Krakowie, powołany na stanowisko kontrolora ruchu do Stanisławowa.

P. Hudetz należał do tych urzędników kolejowych, którzy swą uczynnością i uprzejmością umieli sobie zjednać ogólną sympatyę i uznanie w szerokich kołach miejscowej publiczności. Wiadomość też o przeniesieniu p. Hudetza, choć ze względu na awans, który mu się dawno należał, sympatyczna, spotkała się przecież z szczerym żalem tych wszystkich, którzy bądź w sprawach urzędowych, bądź w życiu towarzyskiem, z p. Hudetzem mieli sposobność się stykać.

Najbardziej jednak odczuł przeniesienie naczelnika Hudetza personal dworca kolejowego w Krakowie, dla którego był on nadzwyczaj dobrym przełożonym. W ciągu kilku lat wspólnej, ciężkiej i tak bardzo odpowiedzialnej pracy, zawiązała się między naczelnikiem ruchu a całym personalem nić szczerej i serdecznej sympatyi wzajemnej. Urzędnicy podwładni i służba cenili w p. Hudetzu jego gorliwoś



Pożegnanie kapłana patryoty: Ks. Stanisław Mindowicz w otoczeniu przedstawicieli stanisławowskich towarzystw patryotycznych, z prezesem „Sokoła“ inżynierem Barancewiczem (X).

w spełnianiu obowiązków, jego punktualność, wyrozumiałość i takt, on nawzajem darzył personal, swej pieczy powierzony, zaufaniem, wymagając tylko ścisłego wypełniania obowiązków.

Aby dać wyraz uczuciom żalu z powodu rozstania się z tak cenionym przełożonym, zebrali się w ubiegłą środę funkcyonaryusze kolejowi, zatrudnieni na dworcu w Krakowie, w jednej z sal, gdzie wprowadzono następnie p. Hudetza. Jeden z podwładnych przemówił w ciepłych, serdecznych wyrazach do naczelnika, wręczając mu równocześnie jako upominek i pamiątkę pobytu w Krakowie, pięknie wykonane album z podpisami wszystkich urzędników i służby. Następnie dokonał nasz fotograf redakcyjny zdjęcia grupy uczestników pożegnania, a reprodukcyę tego zdjęcia zamieszczamy w dzisiejszym numerze.



Po manewrach cesarskich: Arcyksiążę Fryderyk.

Nowa sokolnia.

Coraz liczniej wznoszą się po całym kraju sokolnie polskie, te twierdze i placówki narodowe, których zadaniem nietylko ciało wzmacniać ale i ducha krzepić. Każdego roku słyszy się o kilku nowowzniesionych gmachach sokolich, zwłaszcza we wschodniej części kraju, gdzie życie narodowe mimo cięższych warunków bujniej i piękniej się rozwija.

W tym miesiącu poświęcono nowozbudowany gmach sokoli w Żydaczowie. Uroczystość z tem połączona wypadła bardzo pięknie i była dowodem, jak idea sokola silną jest i żywotną.

Gniazdo sokole w Żydaczowie założono już dawno. Nie miało ono jednak warunków do ścisłego spełniania zadań, nie mogło też należycie się rozwijać, ponieważ nie miało własnego domu. Uznali to wnet założyciele towarzystwa i dążeniem ich oraz celem stała się budowa sokolni. Dzięki zaś ofiarności społeczeństwa miejscowego cel ten osiągnięto wcale rychło. Stanął w Żydaczowie gmach sokoli piękny i odpowiadający potrzebom miejscowym.

Aktu poświęcenia dokonał czcigodny ks. biskup Bandurski ze Lwowa, który też odprawił mszę św. polową i wygłosił podniosłe, duchem patryotycznym tchnące kazanie.

Przemawiali też po mszy św. prezes Związku sokolego dr. Fiszer, marszałek powiatu żydaczowskiego, Edmund hr. Dzieduszycki, oraz prezes gnia zda miejscowego, dr. Abgarowicz.

Uczestniczyły zaś w tem uroczystem święcie narodowem wszystkie sfery społeczne ludności miejscowej i okolicznej, obywatelstwo, urzędnicy, mieszczanie, lud wiejski. Przybyli też gremialnie członkowie Sokoła z gniazd okolicznych, od Stryja, Stanisławowa i Lwowa.

W program uroczystości wchodziły prócz aktu poświęcenia, także ćwiczenia gimnastyczne na boisku. Ćwiczenia te wypadły doskonale, zjednały też ćwiczącym huczne oklaski. Powiodła się również bardzo dobrze zabawa ogrodowa, która była zakończeniem pamiętnego w dziejach miasteczka dnia. Zamieszczone w dzisiejszym numerze zdjęcia z tej uroczystości będą również pamiątką dla jej uczestników.



Nowa sokolnia: Członkowie „Sokoła" w Żydaczowie oczekują na dworcu kolejowym przybycia gości.

Zgon wybitnego urzędnika.

Starostwo podgórskie, związane tak bliskimi stosunkami ze starostwem krakowskiem, a więc i z samym Krakowem, utraciło przed niedawnym czasem urzędnika dużych zasług, który stał na jego czele



Przeniesienie cenionego kolejarza: Urzędnicy i służba ruchu na dworcu kolei państwowej w Krakowie, z naczelnikiem Hugonem Hudetzem w pośrodku.

a mianowicie radcę namiestnictwa i starostę hr. Edwarda Starzeńskiego.

Zmarły starosta przyszedł na świat w 1855 roku w Sędziszowie, a po ukończeniu gimnazyum w Krakowie, odbył studya prawnicze na uniwersytecie w Insbruku, poczem wstąpił do administracyjnej służby państwowej.

Pełniąc po kolei służbę przy starostwach: w Bozen, Schwaz, Wiedniu i Korneuburgu, został powołany do Krakowa, gdzie pełnił czas pewien, jako sekretarz namiestnictwa, obowiązki zastępcy delegata namiestnictwa i starosty. Wreszcie w r. 1896, skoro tylko utworzono starostwo w Podgórzu, został mianowany starostą tamże.

S. p. hr. Edward Starzeński, którego portret podajemy w niniejszym numerze, przez lat kilkanaście zaskarbił sobie uznanie i wdzięczność miasta Podgórza oraz mieszkańców powiatu podgórskiego, który był przezeń wzorowo administrowany. Osobiste zaś zalety zmarłego zjednały mu liczne grono prawdziwych przyjaciół, opłakujących jego zgon przedwczesny, spowodowany ukąszeniem przez złośliwą muchę podczas polowania.



Nowa sokolnia: Msza polowa pod nowym gmachem Sokoła w Żydaczowie.

Nowa wyprawa do bieguna południowego.

Tryumfy Cook'a i Peary'ego, którzy przynajmniej teoretycznie zdobyli dla Stanów Zjednoczonych biegun północny, nie dają spokoju Anglikom. Ponieważ nie da się już po tej stronie naszego globu nic zrobić, przeto postanowili zaanektować dla siebie biegun południowy. Mają oni o tyle większe szanse w tym kierunku, o ile wyprawa porucznika Shackletona w roku ubiegłym ułatwiła zbadanie okolic antarktycznych.

Obecnie wybiera się z wielką wyprawą w tamte strony kapitan królewskiej marynarki angielskiej, Robert Fulcon Scott i ma nadzieję, że zatknie na biegunie południowym flagę W. Brytanii. Podróżnik ten zamierza w czasie swej ekspedycyi użyć, jako zwierząt pociągowych, kuców rasy mandżurskiej, które oddały wielkie przysługi porucznikowi Shackletonowi, a także zaopatrzył się w psy, pochodzące z Grenlandyi i z północnej Syberyi. Oprócz tego kapitan Scott zabiera z sobą sanie, poruszane motorem i przyrządy potrzebne do telegrafowania bez drutu, oraz pewien zapas żywności.



Z dziedziny awiatyki: Santos Dumont na swym monoplanie „Libelle“.

Koszta wyprawy rzeczonej wyniosą, wedle obliczeń kapitana Scotta, którego portret podajemy, 800.000 koron, na naszą monetę. Mają zaś pokryć je składki publiczne, zebrane w Anglii i Australii. Kapitan Scott odbył już w r. 1904 wyprawę do okolic podbiegunowych i opisał ją w bardzo interesującej książce p. t. „The Voyage of the Discovery“.

Na całem obszernem terytoryum wielkobrytańskiego imperyum rozpoczęto już gorączkową agitacyę celem zbierania składek na tę wyprawę, która ma wyruszyć na południe z wiosną przyszłego roku.

Po manewrach cesarskich.

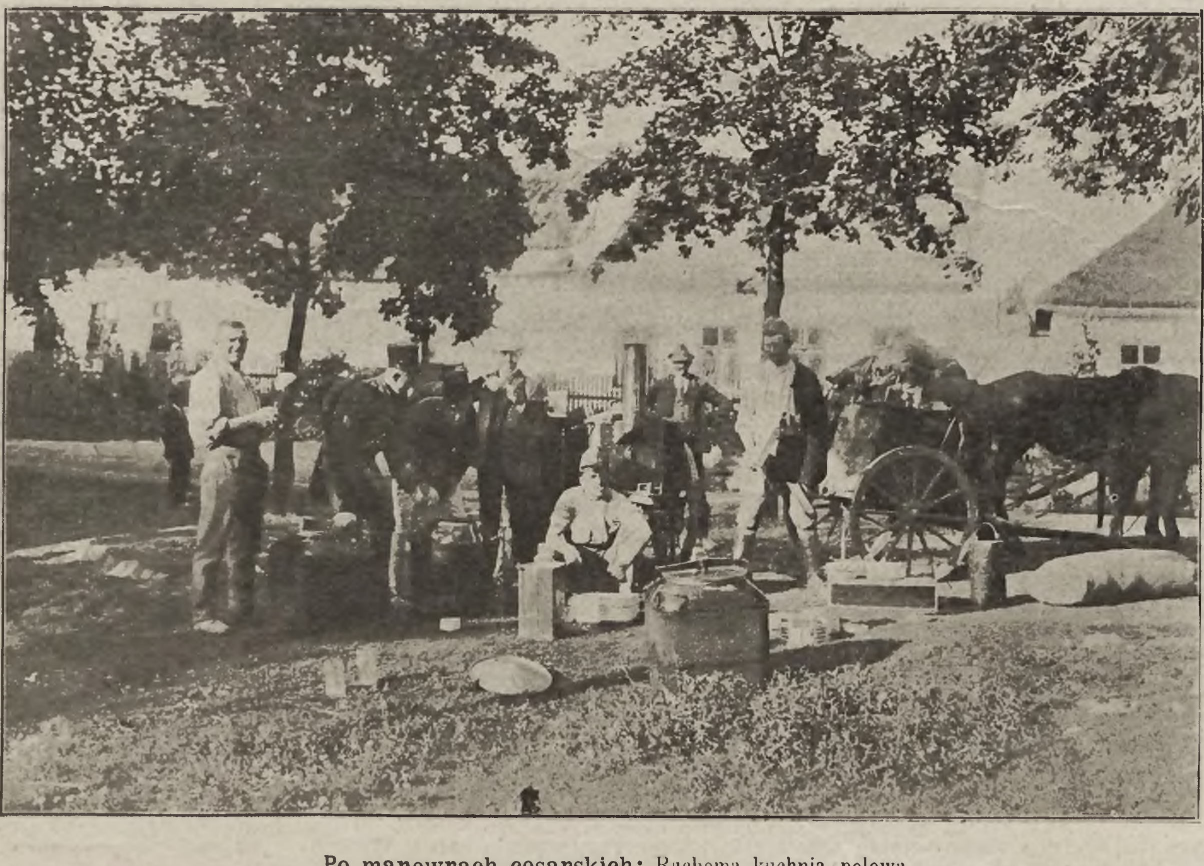
Jak już w poprzednim numerze pisaliśmy, były tegoroczne cesarskie manewry na Morawie pod Wielkim Międzyrzeczem, poważną próbą operacyi wojennych, operacyi zakrojonych na wielką skalę, przy zastosowaniu ogromnego aparatu współczesnej techniki.

Próba wypadła zadowalająco i była dowodem, iż armia austryacka stoi na bardzo wysokim poziomie.

Nie podobna tu wdawać się w szczegółowe sprawozdania z przebiegu manewrów, ani też w fachowe rozstrząsania na ten temat. Ponieważ jednak mamy jeszcze do dyspozycyi szereg zdjęć z tych manewrów, przeto je dziś zamieszczamy wraz z krótkiemi objaśnieniami.

Na jednej z rycin widzimy arcyksięcia Fryderyka, jednego z generałów armii austryackiej, na polu manewrów, w chwili gdy konno udawał się do obozu kierownictwa manewrów. Drugie zdjęcie przedstawia arcyksięcia Leopolda Salwatora, wysiadającego z automobilu, którym przybył na pole „bitwy“. Rycina ta daje też pewne pojęcie o szerokiem zastosowaniu automobilów do celów wojskowości. Na szczupłym placu, stanowiącym drobny ułamek całego terenu operacyjnego, było ich zgromadzonych kilkanaście.

Ogółem odegrały automobile w tym roku bardzo wybitną rolę podczas manewrów i oddały wielkie usługi, za co cesarz wyraził uznanie klubowi automobilistów i korpusowi ochotniczemu. A nie była lekką służba, jaką członkowie tego korpusu musieli



Po manewrach cesarskich: Ruchoma kuchnia polowa.



Nowa wyprawa do bieguna południowego: Kapitan Scott.

pełnić. Po kilkanaście godzin dziennie trzeba było spędzać w samochodzie, bądź przewożąc dygnitarzy wojskowych z miejsca na miejsce, bądź też doręczając rozkazy poszczególnym oddziałom i ich dowódcom.

Po raz pierwszy w tym roku zastosowane ruchome kuchnie polowe, z których jedną przedstawia dalsza nasza rycina, odpowiedziały w zupełności swemu celowi, przynajmniej w teoryi. Celem ich



Zgon wybitnego urzędnika: Ś. p. hr. Edward Starzeński starosta podgórski.

mianowicie jest dostarczanie żołnierzom zaraz po przybyciu ich na miejsce spoczynku ciepłej strawy. Nowe ruchome kuchnie mogą to uczynić dzięki temu, iż gotują jedzenie w czasie pochodów.

W praktycznem zastosowaniu okazały się wprawdzie pewne braki, winą tego jednak jest niewątpliwie niedostateczne obznajomienie się z niemi. Najgorzej wyszli na tem żołnierze, którzy nieraz po kilkanaście godzin nie mieli nic ciepłego w ustach.

Na ogół przeszły manewry spokojnie a stan zdrowia wojska nie pozostawiał nic do życzenia, mimo forsownych, wyczerpujących marszów, po kilkadziesiąt kilometrów bez przerwy. „Marodów“ było bardzo nie wielu.

Jeden tylko poważny wypadek wydarzył się w ciągu manewrów, który spowodował ciężkie poranienie kilkunastu żołnierzy. Stało się to w nocy z 10 na 11 września. Mianowicie oddział kawaleryi zajął obszerne pole w pobliżu Wielkiego Międzyrzecza na odpoczynek. Konie całego oddziału uwiązano, obok zaś pokładli się do snu znużeni trudami żołnierze. Nagle w nocy rzucił reflektor świetlny snop jaskrawego, oślepiającego światła w tym właśnie kierunku, gdzie odpoczywał oddział kawaleryi. Światło to przeraziło konie do tego stopnia, iż porwały więzy i rzuciły się w popłochu do ucieczki na wszystkie strony. Podczas tego potratowały kilkudziesięciu żołnierzy, spoczywających na ziemi. Trzynastu z nich odniosło bardzo ciężkie rany, przeszło trzydziestu zaś lżejsze. Opatrzeniem rannych zajęły się oddziały sanitarne.

Spłoszone konie uciekły przeważnie w kierunku Iglawy, tam też część ich następnego dnia schwytano. Kilkanaście między nimi odniosło w czasie kilkogodzinnej, szalonej ucieczki ciężkie rany, tak iż musiano je dobić.

Na rycinie naszej widać właśnie ów oddział kawaleryi, w chwili przybycia na spoczynek pod Wielkie Międzyrzecze.

Nakoniec zamieszczamy portret generała Versbacha, który był komendantem armii południowej, tej armii, która poniosła klęskę.



Po cesarskich manewrach: Automobile na terenie manewrów. Z jednego z nich zsiada arcyksiążę Leopold Salwator (✕).

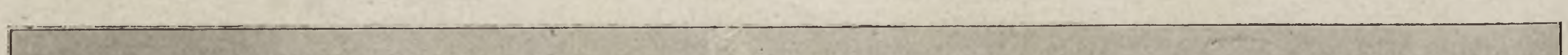
Z dziedziny awiatyki.

Jeden z najwybitniejszych pionierów awiatyki, zamieszkały oddawna w Paryżu Brazylijczyk, Santos Dumont, dokonał w ubiegłym tygodniu wzlotu, który wprawił w zdumienie wszystkich fachowców. Przebył on mianowicie na swym monoplanie „Libella“, ważącym wraz z motorem tylko 60 kilogramów, przestrzeń z St. Cyr do Buc, tj. ośm kilometrów, w ciągu pięciu minut i to przy wietrze o sile siedmiu metrów na sekundę.

Wzlot ten spowodował podwójny zakład, jak powstał między Santos Dumont'em, a dwoma innymi awiatorami, tj. Guffroy i Farman'em. Dzielny Brazylijczyk użył do swego monoplanu, mierzącego zaledwie 9 metrów kwadratowych powierzchni, motoru Darracqu'a. Motor ten, posiadający dwa cylindry poziome o sile 30 HP., może osiągnąć szybkość 90 kilometrów na godzinę.

Rekord, który w tym wzlocie zdobył Santos Dumont, przeszedł najśmielsze oczekiwania zwolenników aeronautyki i zdaje się, zapowiadać dalsze nadzwyczajne rezultaty w tym kierunku. Dotąd samochód uchodził za najszybszy środek przeniesienia się z miejsca na miejsce, tymczasem jednak aeroplan bierze nad nim górę, bo przestrzeń tę, jaką przeleciał Santos Dumont w linii powietrznej między St. Cyr a Buc, możnaby odbyć samochodem nie prędzej, jak w dwudziestu minutach. Zauważyć przytem należy, że „Libella“ wzniosła się do wysokości 60 metrów, co dla aeroplanu stanowi także rekord niepowszedni.

Santos Dumont, człowiek bardzo bogaty, a przytem zapalony propagator żeglugi napowietrznej, nietylko nie wziął patentu na swój monoplan, ale owszem każdemu, pragnącemu posiadać podobny statek, służy planami jego konstrukcyi. Wedle obliczeń Santos Dumont'a cena takiego monoplanu nie powinna przekraczać kwoty 5.000 franków.



Po cesarskich manewrach: Oddział kawaleryi podczas spoczynku pod Wielkiem Międzyrzeczem, wraz z końmi, które w parę godzin później spłoszywszy się, poraniły odpoczywających żołnierzy.

A. K. Green.

Który z nich?

3 (Ciąg dalszy).

— Istotnie — rzekł, poruszając wargami, jakby próbował jeszcze wina — ma pan racyę, zawartość tej butelki wydaje się zupełnie czystą.

Przy słowach tych oddał butelkę nieznajomemu, który zaniósł ją zaraz do drugiego pokoju. Lionel chciał zapytać się, kim jest ten nowy przybysz, nie uczynił jednak tego, gdyż było to zbyteczne. Z jego pewnej miny, z bystrego i szybkiego wejrzenia, jakiem wszystko i wszystkich obrzucał, nie trudno było domyśleć się, że w tym domu żałoby wziął się już do roboty agent policyjny. Nie czyniąc co do tego najmniejszej aluzyi, komisarz jednak był zadowolony z wrażenia, jakie wywołał na trzech braci ten niespodziewany gość. Przystąpił potem natychmiast do dalszego badania.

— Zeszedł więc pan na dół przed śmiercią swego ojca, zanim on przyjął truciznę, która go pozbawiła życia?

— Tak jest, byłem na dole mniej więcej przed godziną.

— I nie widział pan wtedy ani swego ojca, ani nikogo więcej?

— Nie, panie.

Komisarz znowu podrapał się po brodzie swym charakterystycznym ruchem, którym zdradzał, iż jest zakłopotany.

— Śladu trucizny nie znajdujemy więc — rzekł po chwili milczenia — ani w tej butelce, ani w tamtej drugiej, którą służba wypiła, ani w flakonie chloralu, znalezionym na kominku w gabinecie. A pan Hardy umarł z powodu zażycia kwasu pruskiego! W jaki sposób? Oto tajemnica! Nikt z panów nie może mnie wprowadzić na ślad? To jednak ułatwiłoby me zadanie i uwolniło rodzinę od wielu zbytecznych plotek.

Było to wezwanie do synów nieboszczyka, którego oni nie powinni byli przyjąć milczeniem, zbledli jednak tylko pod badawczem spojrzeniem komisarza, lecz żaden z nich nie otworzył ust nawet. Dopiero gdy milczenie stało się już niemożliwe, Lionel pierwszy odezwał się z widocznym przymusem:

— Ojciec mój był bardzo dumny. Jeżeli postanowił w ten sposób skończyć ze swemi troskami, to dołożył wszelkich starań, by nie pozostawić po sobie nic, coby mogło rzucić jaką niesławę na jego rodzinę. Działał zapewnie w przekonaniu, że śmierć jego zostanie uznaną za naturalną, spowodowaną niedawną jego chorobą. Dlatego też prawdopodobnie nie uda się panu znaleść flakonu, który zawierał truciznę.

— Tak, rozumiem, jest to możliwe. Ojciec więc pański miał kłopoty?

Odpowiedź młodego człowieka była zupełnie niespodziewaną.

— Ojciec mój miał trzech synów i żaden nie przynosił mu zupełnego zadowolenia. Czy nie tak, Jerzy i Alfredzie?

— Ty i ojciec, zawsze rozumieliście się dobrze — odmruknął niechętnie Jerzy, co nadało temu wyznaniu jeszcze większe znaczenie.

Przymuszony ton tych słów zachmurzył na chwilę twarz Lionela, który dodał z głębokim żalem:

— Nigdy nie zapomnę, że na godzinę przed jego śmiercią, wynikło między nami poważne nieporozumienie.

Tymczasem i ja powziąłem postanowienie. Zbliżywszy się do miejsca, w którem poprzednio rozmawiałem z młodym doktorem, odezwałem się z stanowczością w głosie:

— Czekałem, proszę panów, bym mógł dobrze wyrozumieć, jaki jest mój obowiązek. Chociaż jestem tutaj zupełnie nieznany, posiadam jednak coś, co może wyświetlić dziwny czyn ojca panów. Pozwolą mi panowie, że zanim wytłomaczę się jaśniej, zadam jedno pytanie.

Komisarz podzielał ogólne zdumienie. Zdawało mu się bez wątpienia, że podczas naszej rozmowy wyciągnął ze mnie wszelkie szczegóły, jakie mógłbym mu dać.

— Przepraszam najmocniej pana komisarza, że nie wszystko wyznałem mu odrazu. Pojmie jednak pan zaraz, dlaczego tak postąpiłem.

Zwróciłem się znowu do synów i mówiłem dalej:

— Gdy wszedłem do tego domu, zawołany przez wnuczkę pana Hardy'ego, znalazłem go trawionego nietylko wielką boleścią fizyczną, lecz także okrutną rozpaczą. Widać było, iż pragnie koniecznie wydać akieś specyalne zlecenie. Nie mogąc już mówić, z wielką tylko trudnością zwrócił mi jakieś znaki. Po wielu wysiłkach udało mu się wskazać na papier, który trzymał zaciśnięty między palcami i na koperty na stole, bym do jednej z nich włożył właśnie to, co miał w ręku. Nie miałem najmniejszego powodu do odmawiania tego. Uczyniłem, co chciał i zapytałem, jakie jest nazwisko i adres osoby, dla której to przeznacza. Do tego jednak stopnia stracił już władzę nad sobą, iż nie mógł wymówić żadnego słowa. Wyjąkał tylko niezrozumiale: „Żadnemu z nich... tylko dla..." i nie mógł dokończyć zdania. Przy tych słowach podniósł oczy do góry, jakby chciał wskazać, że chodzi mu o kogoś domowego, a nie naprzykład o doktora, notaryusza lub jakiego przyjaciela. Zapytuję więc teraz, czy tą osobą może być kto inny oprócz panny Saugey, która, jak widzę ze wszystkiego, posiadała całą ufność swego wuja. Jeżeli więc pan komisarz pozwoli, to kopertę tę wręczę według życzeń zmarłego pannie Genowefie.

Nastąpiło zupełne milczenie, podczas którego nikt nawet nie drgnął. Potem odrzekł komisarz:

— Chętnie przystaję, byle tylko odbyło się to w mej obecności.

Odezwałem się wobec tego do trzech braci:

— Panowie więc będą łaskawi poprosić pannę Saugey. Czuję się w obowiązku oddać w jej własne ręce ten list. Jeżeli się mylę co do intencyi ojca panów, to przynajmniej dobra moja wola jest widoczną. Działam otwarcie wobec wszystkich. Prawdą jest, że nie znam rodziny pana Hardy'ego, o ile jednak mogę sądzić, to tylko pannie Genowefie winienem wręczyć tę kopertę. Czy takie jest zdanie panów?

Żaden z nich nie odpowiedział mi. Doktór Bressant udał się po młodą pannę. Oczekując przybycia Genowefy, zacząłem z większą uwagą przypatrywać się trzem synom Hardy'ego; z obserwacyi mej wynikało, że Jerzy jest więcej szczery, Lionel głębszy, a Alfred żywszy, tak w swej miłości, jak i nienawiści. Panna Saugey zjawiła się wcześniej, niż można było spodziewać się. Z szmerem jej lekkich kroków na schodach zaszła w nas jakaś nagła zmiana. Wszyscy wyprostowali się, jakby tknięci jedną myślą; widać było na twarzach wrażenie przymusu, jaki przyjmują na siebie bezwiednie ludzie, gdy najgłębsze ich uczucia wchodzą w grę. Jedyny Lionel był zupełnie naturalny. Na niego też zwróciła swe niespokojne spojrzenie młoda panna, pytając się wzburzonym głosem:

— Nie wiem, czego można jeszcze dzisiaj odemnie żądać. Nie czuję się na siłach do mówienia. Doktór jednak prosił, bym zeszła. Dlaczego nie pozostawiono mnie z Klarą?

— Ponieważ, droga Genowefo, pan ten, który, jak wiesz, był przy śmierci mego ojca, mówi, iż otrzymał list... jakieś zlecenie, przeznaczone tylko dla ciebie. Czy przypuszczasz, że mój ojciec miał powody, aby swe ostatnie słowa, swe ostatnie myśli zwracać raczej ku tobie, niż do którego z nas? Odpowiedz bez obawy.

Młoda panna usiłowała stać sama, nie opierając się o Lionela. Nie miała jednak sił. Na twarzy jej malowało się wielkie znękanie. Schwyciła za rękę Lionela i zwracając się ku nam, szepnęła drżącym głosem:

— Nie wiem... To możliwe. W ostatnich czasach pomagałam mu wiele w korespondencyi. Czy list ten mam przeczytać tutaj?

— Tak — odrzekł komisarz tonem dość ostrym.

Panna Saugey nie spodziewała się widocznie tej odpowiedzi.

— Ja nie mogę! — prosiła. — Oszczędźcie mnie! Nie jestem naprawdę w stanie przeczytać tego listu... nie widzę... pozwólcie zbliżyć się do światła.

Zwolna odsunęła się od Lionela. Koperta, którą jej wręczyłem, drżała w jej rękach. Oczami wodziła od Jerzego do Alfreda, jakby błagała o łaskę, której jej oni nie mogli udzielić.

— Należy mi pozwolić przeczytać ostatnie słowa mego wuja, którego tak kochałam, bez wystawiania mnie na spojrzenia tych... obcych — skończyła z pewną wyniosłością, nie odpowiadającą jej miłemu i łagodnemu usposobieniu.

Czy do mnie to stosowała? Nie sądziłem tak, mimo to byłem gotów cofnąć się. Dochodziłem już do drzwi, gdy usłyszałem głos komisarza:

— Jeżeli słowa, jakie znajdzie pani w tym liście, odnoszą się do osobistych spraw pani, to może je pani przeczytać na osobności. Jeżeli zaś w jakimkolwiek stosunku dotyczą one spraw tego, kto je pisał, wówczas pani pierwsza zechce je odczytać głośno. Co oznacza śmierć pani wuja i w jaki sposób ona zaszła, są to dwa punkty, wyjaśnienia których winna sobie życzyć tak pani, jak i wszyscy członkowie rodziny.

— Niech pan sam otworzy tę kopertę! — zawołała, wciskając ją w ręce doktorowi.

Potem odwróciła się plecami, czekając, aż on przeczyta.

W chwili tak krytycznej nie mogłem usuwać się. Widziałem, jak doktór rozrywa kopertę, wyjmuje z niej ostrożnie papier, jaki tam włożyłem, ogląda go, obraca na wszystkie strony, lecz z takim wyrazem zdumienia i zakłopotania, iż wszyscy skupili się koło niego, by jak najprędzej otrzymać wyjaśnienie. Było ono bardzo proste. Papier, który mi przyczynił tyle skrupułów i którego tak obawiała się Genowefa, nie zawierał ani jednego słowa. Z obu stron był zupełnie czysty.

— A to dziwne! — rzekł doktór Bressant. — Nie domyśla się pani tutaj czegokolwiek? Ani jednego słowa. Zupełnie zwykły arkusz.

Obróciła się, rozwierając szeroko oczy. Wstrząsnął nią konwulsyjny śmiech.

— Czysty arkusz, pan mówi? Tyle historyi o nic! Nic niema napisanego, żadnego słowa? Pozwoli pan, że popatrzę sama. Spodziewałam się znaleść tu jakie ostatnie pożegnanie.

Jakaż nagła zmiana w niej zaszła? Przedtem była zrozpaczona, trwożna i milcząca. Teraz słowa jej płynęły szybko, jakby się spieszyła. Co do mnie, to nie wiedziałem, co począć. Wyszeptałem kilka słów, na które nikt nie zwrócił uwagi.

— Czuję się... jestem przeświadczony... że państwo nie wierzą ani w moje zdrowe zmysły, ani w szczerość mego pragnienia być wam pomocnym — rzekłem niepewnym głosem. — A jednak sądziłem, że dobrze zrozumiałem z gestów i mimiki pana Hardy'ego, iż chce powierzyć mi jakieś bardzo ważne zlecenie i że ono odnosi się do panny Saugey.

Odpowiedział mi doktór Bressant.

— Nikt nie wątpi o szczerych pańskich intencyach. Pierwsza panna Genowefa uzna to, gdy się cokolwiek uspokoi. Spełnił pan tę misyę, słuchając tylko swego sumienia. Nie jest pańską winą, jeżeli pan nie mógł dokonać wszystkiego, czego pan chciał. Jako człowiek prawy i obyty z życiem sam pan wie, iż nie można przykładać zbyt wiele znaczenia do wrażenia, jakie na rozbudzone umysły rodziny wywarł ten wypadek.

Była to formalna odprawa. I znowu byłem gotowy do wycofania się stąd, gdy panna Saugey utkwiła we mnie swój wzrok, który jakby przykuł mnie do miejsca.

— Chwilę jeszcze! — zawołała. — Chcę coś powiedzieć panu. Proszę nie odchodzić.

Podeszła blisko do mnie, spoglądając na mnie z zupełnem zaufaniem.

— Co czynisz, Genowefo? — odezwał się z niezadowoleniem Lionel.

Po twarzy młodej panny przebiegła zmarszczka, zdradzająca do jakiego stopnia przykremi dla niej były słowa kuzyna. Mimo to nie zaniechała swego zamiaru i rzekła do mnie:

— Potrzebuję przyjaciela, a może i prawnego pomocnika. Czy zechce pan pomagać mi swemi radami? Nie znajdę łatwo kogoś tak szczerego i prawego jak pan.

— Genowefo! Genowefo!

Nie była to już prośba, lecz formalny rozkaz. Lionel postąpił ku niej. Młoda panna zadrżała, zawahała się, lecz w końcu wyszeptała:

— Pan nie odejdzie, zanim się z panem nie zobaczę? Niech pan powie, że pan nie odejdzie!

— Nie odejdę! — potwierdziłem, odkładając kapelusz, który trzymałem już w ręku.

Tymczasem spostrzeżono, że nowa jakaś osoba wchodzi do domu. Był to mężczyzna mniej więcej pięćdziesięcio etni o miłej powierzchowności. Stanął na miejscu, zajmowanem poprzednio przez komisarza, mając w ręku kilka otwartych listów.

Nowy przybysz skłonił się przed panną Saugey i rzekł łagodnie:

— Jestem agentem Rollin ze służby bezpieczeństwa. Proszę wybaczyć mi, że niepokoję państwa, muszę jednak zadać kilka pytań w zastępstwie pana komisarza, który przed chwilą odszedł, wezwany w bardzo pilnej i ważnej sprawie. Następnie poproszę o kilka wyjaśnień, których tylko pani może mi udzielić.

Wszyscy obrócili się i stwierdzili, że komisarza nigdzie niema; wyszedł niepostrzeżenie po otwarciu przez doktora koperty.

— Zdaje się, że pani często pisała na maszynie, pomagając swemu wujowi? — zapytał po chwili milczenia.

— Tak, panie!

— Czy pani używała maszyny do napisania tych pięciu listów, znalezionych na biurku.

— Tak, panie!

— O której godzinie?

— Między kolacyą a pół do dziewiątej.

Po raz pierwszy dopiero przyznała się, że widziała swego wuja po wstaniu od stołu.

— Była więc pani razem z panem Hardym do pół do dziewiątej?

— Prawie do pół do dziewiątej.

— I opuściła go pani zupełnie zdrowego?

— O ile mogę o tem sądzić...

— Przed, czy też po pani odejściu pan Lionel przyszedł do gabinetu?

— Po odejściu.

— Dlaczego pani odeszła? Czy pan Hardy skończył już wówczas swe zajęcie?

— Nie wiem. Nie zdaje mi się, czułam się jednak zmęczoną i spostrzegł to mój wuj. Prawie że rozkazał mi, bym poszła położyć się.

— Czy zwykłym tonem mówił?

— Tak, panie.

— A w jakiej porze mała Klara zeszła do niego?

— Później.

— Nie zaraz?

— Nie, panie, przynajmniej w kwadrans później.

— Hm! W takim razie ta dziewczynka musiała być ze swoim dziadkiem dobry kwadrans przed jego śmiercią?

— Tak przypuszczam, nie jestem jednak tego pewna.

Agent na chwilę zamyślił się, potem rzekł znowu:

— Bardzo ważne jest, proszę pani, upewnienie się, czy pan Hardy myślał o tak rychłej śmierci. Pani zna tę korespondencyę, jeden list do adwokata, drugi do towarzystwa kopalni miedzi, trzeci do jakiegoś pana Dancey i wreszcie dwa do dyrektorów dróg żelaznych. Wszystkie te listy dotyczą spraw majątkowych, czyż nie tak?

— Tak, panie.

— Z żadnego z tych listów nie można domyśleć się, by przyszła mu do głowy myśl o śmierci?

— Przeciwnie! W jednym z nich, zdaje się do pana Dancey, naznaczał spotkanie na jutro.

— Do czegóż to chcecie dojść? — przerwał nagle Jerzy w przystępie złości. — Utrzymujecie, że mój ojciec zginął z ręki innego człowieka?

Przykro mi się zrobiło, gdy ujrzałem, jak rysy młodej panny skrzywił wyraz jakiegoś lęku i bólu. Zdaje mi się, że spostrzegł to i Rollin, nie okazał jednak tego po sobie. Oczy swe skierował na ten kawałek papieru, który upuściła panna Saugey, upewniwszy się, że nie zawiera on ani jednego słowa.

— Pani widzi ten papier — zaczął znowu. — Możnaby powiedzieć, że jest to zupełnie biały arkusz, czyż nie tak?

— I niczem innem nie jest. Nie wiem, dlaczego mój wuj przeznaczył go dla mnie. Wręczył go przed śmiercią temu panu. Nic z tego nie rozumiem.

— Bardzo dobrze. Pozwoli mi pani zapytać się teraz, skąd pochodzi ten kawałek papieru? Pani poznaje jego rodzaj?

— O, tak! Jest to papier używany do maszyny do pisania. Przynajmniej tak mi się zdaje. Wygląda na to...

— Doucet! Proszę przynieść mi maszynę do pisania.

Doucet był to ten młody agent, który poprzednio podał komisarzowi pustą butelkę z wina.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytała Genowefa, cofając się.

Odpowiedzią było przekleństwo Jerzego, który nie mógł pohamować już swego gniewu. Tymczasem Doucet szybko oddalił się i po chwili wrócił z maszyną do pisania. Wszyscy zbliżyli się do stołu, młody zaś agent stanął przy mnie. Arkusz papieru, tkwiący w maszynie, miał kilka linii zapisanych. Koniec arkusza, wystającego z pod wałka, był oderwany i pozostawiając nieregularną linię. Rollin na ten papier zwrócił uwagę Genowefy.

— Widzi pani, że jest to list niekompletny. Czy pani go pisała?

Młoda panna popatrzyła na arkusz, potem odpowiedziała krótko:

— Nie.

— Jest więc w domu ktoś inny jeszcze, co umie pisać na maszynie?

— Pan Hardy! Zawsze z niej korzystał, gdy się spieszył.

— Pan Hardy? I sądzi pani, że to on napisał te wiersze?

— Z pewnością. Nikt więcej nie umie pisać na maszynie.

— W takim razie — odpowiedział spokojnie Rollin — nie potrzebujemy szukać dłużej dowodu o stanie zdrowia pana Hardy'ego, gdy te wiersze zostały napisane. Wątpię, czy nawet pani pisała kiedykolwiek na maszynie z większą pewnością ręki. Lecz dlaczego ten arkusz został tak porwany? Widzi pani, brakuje części pisma.

Stłumiony okrzyk, na poły łkanie, na poły westchnienie, wyrwał się ze ściśniętego gardła młodej panny.

— Czy kto z panów chce przeczytać, co jest tu napisane? — zapytał agent trzech braci.

Zbliżył się Lionel i ujrzał te słowa:



Potem odwróciła się plecami, czekając, aż on przeczyta.

„Paryż, 17 października 1900 r.
Wielmożny Pan Jakób Tisserand
Bordeaux
15 bis, ulica św. Marka.

Panie!

W odpowiedzi na list pański z 15 bieżącego miesiąca, odnoszący się do emisyi stu tysięcy akcyi, po sto franków każda, Towarzystwa kopalń w Vallombrosa, mam zaszczyt prosić pana o przysłanie mi jak najprędzej... następnych“.

— Chodzi o sprawę kopalni w Brazylii — rzekł Lionel. — Jeżeli pan pragnie wiedzieć, co pisał o tem mój ojciec, to mogę przeczytać ten list głośno.

— List ten ma tylko to znaczenie — odrzekł agent — iż świadczy ponad wszelką wątpliwość, że ojciec pański korzystał w zupełności ze wszystkich swych władz na chwilę przed nagłym kryzysem, który go powalił około dziesiątej godziny.

Zanim ktokolwiek mógł coś odpowiedzieć, zaczął znowu:

— Wiem, że kawałek zupełnie podobnego papieru, zapieczętowany w kopercie, został przed chwilą wręczony pannie Saugey. Ten kawałek trzymam właśnie w ręku. Więcej niż pewne jest, że pochodzi on z tego samego arkusza, jak na to wskazuje prawy brzeg. Część jednak oderwana nie pasuje do postrzępionego końca papieru, który pozostał w maszynie. Brak więc kawałka szerokości około pięciu centymetrów. Gdzie on jest? Niema go. Ani w gabinecie, skąd przyniesiono maszynę, ani przy panu Hardy. Jesteśmy tego pewni.

Nastąpiło zupełne milczenie.

— Zniknięcie to winno być jednak wytłomaczone — mówił dalej agent dobrodusznym tonem. — Jest to punkt, do którego policya przywiązuje wielką wagę. Jeżeli nikt z obecnych nie może nam oddać tego papieru, jak się tego spodziewałem, musimy więc przystąpić do energicznych poszukiwań...

— Poszukiwań! — przerwał oburzonym głosem Lionel. — Któż więc go według pana wziął?

— Żałuję bardzo — odrzekł Rollin z rzadkiem u jego kolegów współczuciem. — Nie należy nas zmuszać do tego!

Nastąpiło chwilowe milczenie, które znowu przerwał Lionel.

— Jeżeli uważa pan to za konieczne, proszę więc czynić, co pan uzna za potrzebne do odnalezienia tego papieru. Jerzy, Alfredzie, musimy zgodzić się na tę konieczność. Nic nie zyskamy, sprzeciwiając się woli policyi.

Odpowiedziało mu stłumione przekleństwo. Bracia jego byli bardziej zapalczywi i mniej skupieni w sobie, niż on. Nie stawili jednak żadnego oporu. Agent rzucił znaczące spojrzenie swemu młodemu koledze, który stał przy mnie. Ten zwrócił się do mnie i rzekł po cichu:

— Zdaje się, że to zadanie mnie przypadnie, nie znam wcale rozkładu domu. Pan był na górze?

Kto to mógł mu powiedzieć? Doktór Bressant? Możliwe. Te sprytne szpaki potrafią wkręcić się w łaski ludzi daleko ostrożniejszych od dobrodusznego lekarza.

— Istotnie przeszedłem przez salony — odpowiedziałem nie bardzo zachęcająco. — Nie wiem jednak zupełnie, w czem mógłbym być panu pomocny.

— Dom ten jest czteropiętrowy, jak wszystkie domy na tej ulicy?

— Tak, czteropiętrowy.

Pocierał wolno ręce o siebie, jakby nad czem namyślał się. W całej jego postaci było zresztą coś przymuszonego. Skierował się w drugi koniec westybulu; nie dochodząc do biblioteki, cofnął się pod ścianę, by przepuścić pannę Saugey, która, zdawało się, iż chce wejść do tego pokoju.

Gdy młoda panna mijała go, szepnął do siebie z wahaniem:

— Cztery piętra! Skąd zacząć, od pierwszego, czy też od strychu. Ach! Uśmiechnął się nagle, zdaje mi się, że tak będzie najlepiej.

I udał się szybko na schody.

Przy słowie „strych“, Genowefa nie mogła powstrzymać lekkiego drżenia. Widoczne było, że przedstawiciele władzy zamierzali działać szybko i dobrze. Jednem ostrem spojrzeniem Rollin zatrzymał nas wszystkich w westybulu, podczas gdy młody agent szedł spiesznie po schodach. Jeden tylko Lionel otrzymał pozwolenie na towarzyszenie mu, aby agent wchodząc do jego mieszkania nie przestraszył małej Klary. Z niespokojnego wzroku, jakim Genowefa śledziła ich, domyśliłem się, że to poszukiwanie sprawia jej pewien lęk. Wszyscy zresztą mieli miny zakłopotane, z wyjątkiem tylko doktora Bressanta, który z ożywieniem mówił coś do Rollina. Doleciało mnie kilka oderwanych zdań.

— ...Instynktownie lękał się trucizn... nie przyjmował nigdy najmniejszego lekarstwa bez poradzenia się mnie... wszystkie objawy... nie przypuszczać ani na chwilę, iż się sam otruł.

Tymczasem Genowefa, od której nie mogłem oderwać oczu, gdyż coraz bardziej mnie interesowała, zdawała się przygotowywać do nowego bolesnego doświadczenia, jakie ją czekało po powrocie młodego agenta. Dla mnie nawet było to jakąś przykrą niespodzianką, gdy przy odgłosie jego kroków na schodach, przycisnęła ręce swe do piersi. Możnaby powiedzieć, że ten fatalny papier znajdował się u niej za gorsem, a nie na strychu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nowy dyrektor Towarzystwa muzycznego.

Na opróżnioną posadę dyrektora krakowskiego Towarzystwa muzycznego powołał wydział znanego muzyka Feliksa Nowowiejskiego z Berlina.

Od lat kilku spotykało się bardzo często wzmianki o znakomitym artyście, o którym przypuszczano tylko z nazwiska, że jest Polakiem; przed laty czterema poznano go dopiero w Krakowie, dokąd przybył, aby wyćwiczyć się w mowie rodzinnej, której dotąd rzadko używał, kształcąc się w zakładach niemieckich i podróżując po całym świecie. Już wówczas zyskał sobie sympatyę wszystkich, którzy go poznali, a Kraków, który zwiedzał po raz pierwszy, jak sam opowiadał, wywarł na nim ogromne wrażenie.

Feliks Nowowiejski urodził się 7. lutego 1877 w Wartenburgu w Warmii i tu w siódmym roku życia wstąpił do szkoły klasztornej „Świętolipki", utrzymującej także chór i szkołę muzyczną. Uczył się tu gry fortepianowej, organowej i na instrumentach smyczkowych. Po ukończeniu gimnazyum wszedł w skład prywatnej orkiestry, jako wiolonczelista. Po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej, pracował dalej w miłowanym zawodzie i już w krótkim czasie stanął do konkursu, ogłoszonego przez „Britisch Muzeum", na dzieło z zakresu muzyki symfonicznej. Zdobywszy pierwszą nagrodę, wstąpił do konserwatoryum Herna, gdzie pobierał naukę kontrapunktu u Bellemanna gry organowej u Diemla i kompozycyi u Tauberta. Gdy środki się wyczerpały, powrócił do rodzinnej Warmii i tu objął artystyczne kierownictwo Towarzystwo św. Cecylii. Po półrocznym pobycie na nowem stanowisko udaje się do Ratysbony, aby pod okiem ks. Haberla i Hallera, kształcić się w muzyce kościelnej. Ukończywszy studya, wraca do Berlina, gdzie poddaje się egzaminowi, aby uzyskać miejsce w klasie mistrzów tamtejszego konserwatoryum królewskiego. Równocześnie zapisuje się na wydział filozoficzny.

W czasie swych studyów kilkakrotnie bierze Nowowiejski udział w konkursach, wychodząc z nich zawsze z laurami zwycięscy. Za kantatę „Powrót syna marnotrawnego" otrzymuje na konkursie Meyerbeera wielką nagrodę 4500 marek. W Bonn w r. 1903 na konkursie Paderewskiego sprzątą Niemcom z przed nosa pierwszą nagrodę swem dziełem „Swaty polskie", a w r. 1904 staje ponownie do konkursu Meyerbeera z swą drugą symfonią h-moll i ponownie zdobywa 4500 marek.

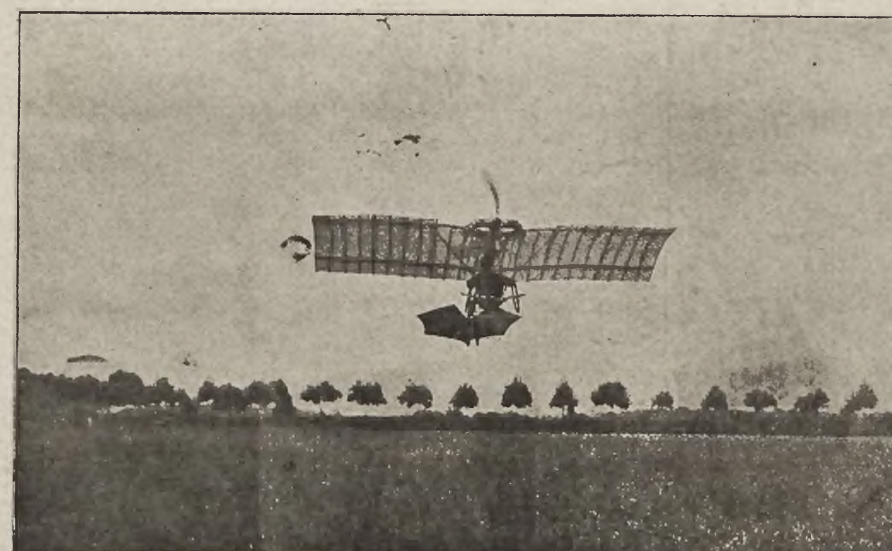
Po krótkiej podróży naukowej osiada wreszcie na stałe w Berlinie i przyjmuje stanowisko profesora w konserwatoryum Herna. Gdy w r. 1905 ogłoszono ponownie konkurs Meyerbeera, rząd pruski wykluczył uzdolnionego Polaka od ubiegania się o nagrodę, bojąc się, aby i po raz trzeci nie przypadła mu w udziale.

Szczęśliwym więc ze wszech miar był wybór wydziału krakowskiego towarzystwa muzycznego, powierzający ster tej instytucyi w ręce młodego, pełnego energii a tak wybitnie utalentowanego muzyka. Spodziewać się można, że niepospolita, silna indywidualność Nowowiejskiego rozrusza zmurszałe nieco stosunki krakowskie, że wleje zapał i zamiłowanie muzyki w tutejszą inteligencyę. Zadanie to niewątpliwie bardzo trudne, ale jeśli się powiedzie, będzie ogromną dla młodego dyrektora chlubą.

Dyrektor Nowowiejski ma projekty bardzo daleko idące, których spełnienie jest w przeważnej części zależne od współdziałania ogółu publiczności krakowskiej. Przedewszystkiem chce stworzyć potężny chór i orkiestrę, a wobec muzykalności, wro-



Nowy dyrektor Towarzystwa muzycznego: Feliks Nowowiejski.



Z dziedziny awiatyki: Aeroplan Santos Dumonta „Libelle" podczas lotu.



Małżeństwo ks. Braganzy z miliarderką: Ks. Miguel Braganza (syn) i jego żona Anita z domu Stewart.



Małżeństwo ks. Braganzy z miliarderką: Ks. Braganza (ojciec) i jego żona ks. Teresa.

dzonej Polakom, nie jest to mar enie nie do spełnienia. Potrzeba tylko dużo dobrych chęci. Dyrektorowi Nowowiejskiemu ich z pewnością nie braknie, nie braknie mu też wytrwałości i potrzebnej w tym kierunku wiedzy. Oby tylko dopisała publiczność.

Życzymy też z całego serca jak najlepszego powodzenia i dyrektorowi i instytucyi, na której czele stanął.

KRONIKA TYGODNIOWA.

(Niepogoda a asfaltowanie ulic. — Wycieczka do Mogiły z przeszkodami. — Gwizdak-Bodyński. — Katastrofa na Grzegórzkach. — Nieudały zamach kamieniczników na kronikarza. — Klapa Reichmana. — Obstrukcya w sejmie. — Bednarzewska i Brzozowski. — Jeszcze o biegunie i z tej racyi o podwyższeniu podatków w Austryi)

Użaliły się nawet niebiosa nad naszą mizeryą (ale nie z ogórków) i zapłakały rzęsistemi łzami pod postacią gęstego kapuśniaczka, który od trzech dni kapie sobie spokojnie ku zmartwieniu przeciętnego mieszkańca stolecznego królewskiego miasta Krakowa, zmuszonego okolicznościami znaleść się na ulicy Grodzkiej lub Floryańskiej. Mimowoli przychodzi na myśl opis puszcz litewskich przez Mickiewicza, bo i tu, niby „wilcze doły“, czyhają na przechodnia otchłanie, w których robotnicy łączą kanały domów z kanałem miejskim, są i „małe jeziorka“, wypełnione błotem, skutkiem zatamowania ścieków, a zamiast „wału pniów, kłód, korzeni“ stosy kamieni, przygotowane na nowe krawężniki wyasfaltowanych chodników. Domyśli się łaskawy Czytelnik, że opisuję wygląd obu tych ulic, przygotowywujących się do wybetonowania i wyasfaltowania, co niestety rozpoczęto zbyt późno i kto wie, czy jesienna słota nie przeszkodzi robotom. To też przeciętny Krakowianin, wybierając się na Grodzką lub Floryańską, poleca Panu Bogu swego ducha, a specyalistom od chirurgii swe nogi i woli raczej nałożyć drogi, niż znaleść się w tej okolicy.

Niepogoda i w inny sposób dała się nam we znaki, popsuła bowiem niedzielną wycieczkę do Mogiły, a jak wiadomo, jest ona tradycyą uświęconym zwyczajem. Rano było jeszcze wcale ładnie, to też tysiące Krakowian podążyło na odpust, jedni, którzy mieli więcej czasu, koleją Kraków-Kocmyrzów, ci zaś, którym zależało na czasie, piechotą. Zaroiło się obok kopca Wandy od pątników, z których zaledwie 5% miało na myśli nabożeństwo, a reszta zabawę, a tu tymczasem deszczyk zaczął rosić i plamić kapelusze Zoś i Mań, które większą część zgromadzonych stanowiły. Zrobił się rwetes, pobożni i rozbawieni w pospiesznym marszu udali się na dworzec, aby tu bodaj przemocą zdobyć sobie miejsca w wagonach. Ale pech prześladował ich już do końca. Wagonów było mało, a w nich zajęły miejsca właścicielki nowomodnych kapeluszy, które wystającemi szpilkami broniły dzielnie zdobytych pozycyi. Szczęśliwy, kto potrafił się jakotako ulokować, reszta musiała czekać na drugi pociąg, aby dostać się do domowego ogniska, które tymczasem wygasło. Wielu mężów pogubiło w ścisku swe żony, wiele żon szukało bez skutku swych tyranów, piwosze narzekali na kiepskie piwo, które za drogie pieniądze sprzedawał im pan propinator, ale mimo to wszyscy dali sobie w duchu słowo, że za rok, jeśli tylko doczekają, znów się tu znajdą. I niech tam mówi, kto chce i co chce o postępie, z tego widać, że Kraków jest z krwi i kości konserwatywnym.

Oprócz Mogiły mieliśmy w ubiegłym tygodniu i proces głupiego Jasia Gwizdaka, Bodyńskiego-Malinowskiego, który z powodzeniem debiutował na scenie życia, jako akademik i włamywacz. Pomimo młodego wieku, jest to mąż, zapisany złotemi głoskami w aktach kryminalnych galicyjskich, nic też dziwnego, że w dowód uznania skazał go trybunał na ośm lat ciężkiego więzienia. Dla niego to nie nowina, siedział już lat sześć, obecnie ośm posłużą mu do obmyślania planów na przyszłość. Dziwić się jednak należy, iż tak długo byłemu lokajowi udawało się brać ludzi na kawał i udawać akademika. Widocznie nasz narodek jest jeszcze bardzo łatwowierny!

Wreszcie zajęło naszą uwagę zawalenie się kamienicy na Grzegórzkach, przyczem padło znów ofiarą jedno życie ludzkie. Sama sprawa nie jest wcale ciekawą, ulepszenie bowiem techniki budowlanej bardzo często nastręcza nam podobne niespodzianki. Obecnie nowy system budowlany dąży do tego, aby w jak najkrótszym czasie i jak najmniejszymi kosztami wybudować jak największy dom, co się zazwyczaj nie udaje, te trzy bowiem problemy nie mogą się jakoś ze sobą pogodzić. Choć opanowani gorączką budowlaną, stawiamy jeden dom po drugim, mieszkania przecież utrzymują się ciągle w cenie, co powoduje narzekania i jęki lokatorów. Nie myślę jednak brać ich w obronę, uczyniłem to już w jednej z poprzednich kronik, pisząc o lichwie mieszkaniowej i o mały figiel nie ujrzałem za to światłości niebieskiej. Któryś z kamieniczników przysłał mi w dowód uznania maszynę piekielną, zupełnie dobrze funkcyonującą i tylko mojej czcigodnej połowicy mam do zawdzięczenia, iż grzeszne ciało moje porozrywane na sztuki, nie wala się obecnie po ulicach miasta. Zoczywszy adres, wypisany damską ręką i żywiąc najgorsze przeczucia co do mojej wierności małżeńskiej, uchwyciła energiczna niewiasta przyniesioną przez ekspresa posyłkę i wyrzuciła ją przez okno. Szczęśliwym trafem spadła w sam środek kałuży błota, mieszkam bowiem przy pryncypalnej ulicy i tam u onęła! Nazajutrz dopiero przemokniętą wydobyto i złożono w magistracie, gdzie ją nadawca po udowodnieniu praw własności może odebrać w godzinach urzędowych. Odpowiedzialności karnej obawiać się nie potrzebuje, o całej sprawie nie wie nikt, ja wspomniałem o niej tylko mimochodem w kronice, żona zaś opowiedziała, ale pod słowem, kilku znanym z dyskrecyi przyjaciółkom. Widać z tego, że przecież ugodziłem kamieniczników w słabiznę, skoro tak reagowali, obecnie nie chcę się już znęcać nad nimi, zwłaszcza że zbliża się kwartał, a i ja muszę ustroić się w pokorę i prosić swego gospodarza, by pozwolił czynsz zapłacić nieco później!

I to mają być sensacye, na które kronikarz z takiem upragnieniem wyczekuje! Zupełnie inaczej dzieje się w Warszawie i we Lwowie, gdzie jest o czem i mówić i pisać. Warszawiacy, dzięki panu Rajchmanowi, mieli sposobność nie oglądania wzlotu aeroplanów, Lwowiacy cieszą się Sejmem i Radą miejską, która pilniejsza, niż krakowska, rozpoczęła już obrady. A u nas cisza!

Pan Rajchman, usunąwszy się od prowadzenia warszawskiej Filharmonii, wiedziony chęcią zrobienia dobrego interesu i zajęcia Warszawiaków, sprowadził sobie pana Legagneux, który na aeroplanie miał żeglować ponad polem Mokotowskiem. Zbiegły się tysiące naiwnych i ciekawych, od patrzenia w górę zesztywniały im karki, nic jednak nie zobaczyli, gdyż statek napowietrzny nie był tego dnia dysponowany. Na drugi dzień powtórzyło się to samo. Gazety podniosły larum i „hejże na Soplicę!“, ten jednak, tj. Rajchman ogłosił narodowi, że nietylko na tym interesie nic nie zarobił, ale owszem dołożył doń ze swej kieszeni. Przypomina mi to jednego z mych znajomych, który codziennie popołudniu grywa w bezika u Janikowskiego i zawsze narzeka, że przegrał. Przypadkowo obserwowałem kiedyś grę i widziałem, że wygrał coś około pięciu koron. Gdym go jednak zapytał o wynik, oświadczył mi kategorycznie, iż znowu przegrał i to coś około pięciu koron. Z filuternym uśmiechem zwróciłem uwagę, iż wedle mych spostrzeżeń wygrał przecież pięć koron i coś halerzy. — Tak, mój dobrodzieju — odparł wówczas spokojnie — prawda, wygrałem tyle ile powiadasz, ale powinienem był wziąć przynajmniej dwa razy tyle, więc wobec tego jestem poszkodowany!

Aby jednak uspokoić wzburzoną opinię publiczną, obiecał pan R. sprowadzić do Warszawy kawałek bieguna północnego i pokazywać go po zniżonych cenach. Zimowa pora nadaje się doskonale do wykonania przedsięwzięcia, które w lecie gotowe się nie udać.

Lwowianie znowu cieszą się sejmem, który rozpoczął się pod znakiem ruskiej obstrukcyi. Sąsiedzi nasi z za Sanu nie na żarty zabierają się do polityki czynu, przeciągając w sejmie obrady, urządzając po stacyach kolejowych „borby“ o ruskie bilety, a od czasu do czasu pojawia się w gazetach wzmianka o „czerwonym kogucie, który ma zapiać we wschodniej Galicyi“. Cała ta historya nie jest jednak pozbawioną i humorystycznych epizodów, a prym między nimi mają występy posła Tymka Starucha, męża, jak sam o sobie powiada, „o mózgu pozbawionym elektryczności“. W tym wypadku pan poseł rzeczywiście się nie pomylił w zdaniu o sobie, zbytkiem mózgowej elektryczności nigdy nie grzeszył, a już w czasie obecnej sesyi sejmowej najlepsze tego dał dowody.

Ukraińscy posłowie ograniczyli swą obstrukcyę na razie do ciągłego żądania stwierdzenia kompletu i głosowań, a przedewszystkiem wysilali się na wygłaszanie jak najdłuższych i najczęstszych mów. Trąbki, piszczałki, śpiewy chóralne i rozbijanie pultów, nie znalazły dotąd zastosowania, prawdopodobnie znana energia marszałka Badeniego do pewnego stopnia trzyma na wodzy rozhukane umysły hajdamackie.

Bardzo trafnie charakteryzuje sytuacyę *Słowo Polskie*, które w sprawozdaniu z rozpoczęcia sesyi sejmowej stwierdza, że nagle wszyscy Rusini przestali rozumieć po polsku, uczuli gwałtowną potrzebę porozumienia się ze swymi wyborcami, do czego konieczne jest wydrukowanie sprawozdań po rusku i wszyscy bez ustanku narzekali na polską nietolerancyę. Mowy obstrukcyjne obracały się w kółko około jednego i tego samego punktu z tą jednak różnicą, że gdy p. Makuch wygłaszał swe frazesy w tonie karawaniarskim, dr. Oleśnicki czynił to z wdziękiem pokątnego doradcy, któremu chodzi o jak największe zaciemnienie sprawy. Pan Tymko Staruch robił wrażenie człowieka, który z powodu nadużycia alkoholu, poczyna robić awantury, a p. Skwarko wzywał naród polski, aby w imię „wolnościowych ideałów“ pomógł Ukraińcom w urządzaniu obstrukcyi. Starorusini początkowo zachowywali się biernie, później dopiero przez usta dra Korola zgłosili przystąpienie do obstrukcyi. Na wiec. czornem posiedzeniu nasilenie obstrukcyjne zmalało.

Posłowie polscy przyjęli występ Rusinów ze spokojem, konferując grupami na sali i nie okazując żadnego zdenerwowania, co znowu obstrukcyonistów wyprowadzało z równowagi. W ogólności zaznaczyć trzeba, że pierwszy występ ruski się nie powiódł, prawdopodobnie więc zaniechają dotychczasowej taktyki, która może tylko narazić na szwank interesy ich wyborców i tak już dość głośno narzekających, iż zawiedli się na swych wybrańcach.

Byłbym na śmierć zapomniał o najważniejszej lwowskiej sensacyi, to jest o sprawie Bednarzewska-Brzozowski. Jak łatwo można było przewidzieć, była to mistyfikacya, urządzona, jak obecnie twierdzi prasa, przez jedną z koleżanek p. Bednarzewskiej. Kilka pism lwowskich, przyzwyczajonych w sezonie ogórkowym do polowania na kaczki, chwyciło się oburącz wiadomości i nie sprawdzając jej dla braku czasu, podało ją światu, żądnemu przecież skandalików. Tymczasem pokazało się, że ani p. Bednarzewska, ani p. Brzozowski nie mieli wcale samobójczych ani morderczych zamiarów, że w Monaco wcale się nie spłukali, ale bawią sobie spokojnie w Syryi i cieszą się najlepszem zdrowiem, humorem i apetytem. Nastąpił więc odwrót na całej linii, oboje interesowani z powodu zbyt wielkiej odległości nie mogli nawet użyć § 19 ustawy prasowej i sprostować, że nie prawdą jest, jakoby..., natomiast prawdą jest, że... i t. d.

Sprawa ta chwilowo zajęła prasę polską bardziej niż odkrycie bieguna północnego przez dwu współzawodników Cooka i Pearego. W poprzedniej kronice poruszyłem ją już należycie. Dziś muszę o tyle do niej powrócić, o ile zasługuje na wzmiankę polemika uczonych, zajmujących się tą kwestyą. Jest ona prowadzona w sposób amerykański, przy użyciu nader dobitnych wyrażeń, między któremi: „oszust“, „kłamca“, „żebra mu polamię, gdy tu się pokaże“, stanowią delikatniejsze. Przyznać trzeba, iż owa *biegunka północna* większą popularnością cieszy się gdzieindziej niż u nas, a to z powodu, iż mamy o czem innem myśleć, niż o podobnych głupstwach, które ani nas ziębią ani bolą. Czy tam biegun północny odkrył Cook, czy Peary, nam wszystko jedno, nie wpłynie to wcale na p. ministra Bilińskiego, który *odkrył* również nowe źródła, mające dostarczyć świeżych zapasów kasowych.

A zapasów tych gwałtownie potrzeba, już choćby tylko na zaspokojenie nigdy nienasyconego apetytu pana ministra wojny, który na różne wojskowe inwestycye zażądał takiej masy monety, jak nigdy jeszcze dotąd. Przez trzystu milionów na pokrycie kosztów podniesienia bar. Aehrenthala do stanu hrabiowskiego, czyli innemi słowy, aneksyi Bośni i Hercegowiny, potrzeba gwałtownie dwieście sześćdziesiąt sześć milionów na budowę okrętów nowego typu i inne podobne historye. Gdy ministrowie skarbu dostali do ręki preliminarz budżetowy po raz pierwszy zgodzili się na jedno: węgierski uderzył pięścią w stół i zawołał: „Bassama teremtete!“ pan Biliński zaś poskrobał się za uchem i wyrzekł z rezygnacyą: „Masz babo redutę!“ X.

Obstrukcya ruska.

Sejm galicyjski przystąpił w ubiegłym tygodniu do dalszego ciągu przerwanej w zeszłym roku sesyi. Zaraz u wstępu jednak musiał się rozprawić z obstrukcyą ruskich posłów, którzy wykorzystali przypadkowy zbieg okoliczności, iż z powodu późnego zwołania sejmu nie można było wygotować wszystkich druków w języku ruskim, uznali to za pokrzywdzenie praw narodowych i zatamowali prace sejmu.

Nie jest to obstrukcya w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie dopuszczająca do załatwiania spraw bieżących, lecz raczej „bierny opór“, polegający na regulaminowem powstrzymywaniu i przekładaniu załatwienia tych spraw w nieskończoność. Skutkiem tego n. p. odesłanie przedłożeń Wydziału krajowego w pierwszem czytaniu do komisyi, zajęło parę posiedzeń, gdy dotychczas odbywało się w ciągu jednej godziny.

Zachodzi więc poważne niebezpieczeństwo, iż posłowie ruscy zatamują bieg prac sejmowych i sparaliżują jego działalność na dłuższy czas.

Oczywista zaś rzecz, że istotną przyczyną obstrukcyi ruskiej nie było niewydanie części druków w języku ruskim. Wynika to zresztą i z deklaracyi posłów ukraińskich, których imieniem przemawiał poseł dr. Oleśnicki. Oświadczył on, że Ukraińcy wśród wszelkich okoliczności byliby rozpoczęli w sejmie obstrukcyę, ze względu na politykę polską, której wyrazem jest sejm, politykę, objawiającą się „zupełnem ignorowaniem“ kulturalnych potrzeb narodu ruskiego i „brutalnem“ jego praw deptaniem.

Toż samo stanowisko zajął organ galicyjskich Ukraińców *„Diło“*. W jednym z artykułów, tej sprawie poświęconych, stwierdza ten dziennik, iż cała 40-letnia działalność sejmu galicyjskiego stanowi niezbity dowód, iż bez względu na radykalność lub umiarkowanie ruskiej taktyki, polska większość sejmowa nie myśli nawet o spełnieniu najskromniejszych choćby żądań ruskich. Radykalna taktyka Rusinów służy Polakom do „wykrętu“, że trudno zawierać ugodę z radykalnymi elementami, taktyki zaś umiarkowanej ze strony ruskiej używają oni jako dowodu, że Rusinom nie dzieje się żadna krzywda.

Wobec tego — konkluduje dalej *Diło* — przedstawiciele narodu ruskiego w sejmie powinni się trzymać takiej taktyki, jaka utrudni polskiej większości sejmowej dążenie do jej celu t. j. do utwierdzenia panowania polskiego na Rusi. Kiedy bowiem sejm galicyjski jest fabryką ustaw „na zniszczenie Rusi“, to dążeniem Rusinów powinno być przeszkadzanie wszystkiemi siłami prawidłowemu funkcyonowaniu tej fabryki.

Istotnie też posłowie ruscy chwycili się tej taktyki i utrudniają „fabryce“ polskiej robotę. Wyjątkowo zaś panuje zgoda pod tym względem wśród Ukraińców i wśród Starorusinów, którym po detronizacyi skompromitowanego p. Dudykiewicza, przewodzi dr. Korol. W przemowie swej oświadczył dr. Korol, iż partya staroruska pójdzie „w obronie praw języka ruskiego“ ręka w rękę z Ukraińcami. Nie jest to z resztą ani niespodziewany ani pierwszy wypadek. Ile razy chodziło o zwalczanie narodu polskiego, tam Ukraińcy i Starorusini, najzaciętsi między sobą wrogowie, łączyli się w jeden obóz.

Obstrukcyjna taktyka ruskich posłów pozwala też „pohulać“ na każdem posiedzeniu ich wybitnemu prowodyrowi, ekszandarmowi Tymkowi Staruchowi, który — jak wiadomo — jest znawcą uniwersalnym i zabiera głos w dyskusyi nad każdą niemal sprawą. Czy chodzi o szkoły, czy gimnazya lub uniwersytet, czy o szpitalnictwo lub akuszerki, o biblioteki lub teatr, o podatki i finanse, zawsze poseł Staruch ma coś do powiedzenia. Stał się postrachem sejmu i jego *l'enfant terrible*.

Do czego zmierza taktyka Rusinów, nie wiadomo, gdyż zdają sobie sami sprawę z tego, że pozytywnych korzyści z obstrukcyi nie osiągną.



Epizody z wojny w Marokku: Major Richardson z jednym z psów wojskowych, które podarował Hiszpanom walczącym w Marokku.

Epizody z wojny w Marokku.

Już tyle miesięcy trwająca wojna na skalistem wybrzeżu Afryki północnej jest z wielu względów ciekawa. Przedewszystkiem toczy się ona na terytoryum, którego nominalnym panem jest sułtan marokkański Mulej el Hafid, wcale w tę wojnę oficyalnie nie zamieszany, a następnie ponieważ wykazało się, że nawet przy obecnych wydoskonalonych środkach technicznych prowadzenie wojny przy trudnych warunkach terenu i z przeciwnikiem odważnym, nie ceniącym swego życia, jest sprawą bardzo trudną. O tem przekonali się także Włosi, prowadząc onego czasu wojnę z Menelikiem.

Sprawiedliwość przecież nakazuje przypuszczać, że trudności, jakie spotkali Hiszpanie na er Rifie, są większe niż te, które gdziekolwiek indziej spotykają wojska europejskie, walczące w Afryce lub Azyi. Brak absolutny komunikacyi, brak wody



Pierwsza miłość króla Aleksandra serbskiego: Róża Benkoe.

i paszy, niemożliwe upały, teren złożony przeważnie ze skał niedostępnych — wszystko to razem utrudnia Hiszpanom osiągnięcie zamierzonego celu. Do tego jeszcze trzeba dodać intrygi Niemców,



Epizody z wojny w Marokku: Hiszpańska górska artylerya wyruszająca z Melilli do boju.

którzy niechętnem okiem patrzą na to, że którykolwiek z narodów europejskich mógłby wywalczyć sobie pewne korzyści na terytoryum marokkańskiem, a także pewną niechęć Francuzów, spoglądających niechętnem okiem na Hiszpanów, którzy mogą się osiedlić w Marokku, tuż pod bokiem ich posiadłości algierskich.

W ostatnich jednak tygodniach naczelny wódz hiszpański na er Rifle. generał, Marina poczynił znaczne postępy ku południowi, tak że owe pasma górskie, gdzie Kabylowie po każdej porażce znajdowali bezpieczne ukrycie, wpaść mogą w posiadanie wojsk hiszpańskich.

W niniejszym numerze podajemy kilka zdjęć oryginalnych z przebiegu tej zaciętej walki, w której Hiszpanie kiedyć osiągną zwycięstwo, lecz połączone z zyskami, nie stojącymi w żadnym stosunku do ofiar poniesionych. W żadnym bowiem razie mocarstwa interesowane, t. j. Francya i Niemcy, nie pozwolą im ze zwycięskiej wojny wyciągnąć odpowiednich korzyści.

Wśród tych zdjęć zwracamy uwagę Czytelników na jedno, przedstawiające angielskiego majora, Richardsona, który ofiarował wytresowane przez siebie psy wojskowe komendzie wojsk hiszpańskich w Marokku. Fakt ten wywołał obłudne oburzenie w prasie niemieckiej, która nie chce pamiętać o tem, że pierwsze psy, ułożone do służby wojskowej, zaprowadziła u siebie armia pruska i że utrzymuje takie psy do tej chwili. Prusakom wszystko wolno, ale kto inny nieśmie używać tych samych. co oni środków, ułatwiających wojnę.



Epizody z wojny w Marokku: Transport rannych z pola walki do szpitala w Melilli.

Pierwsza miłość króla Aleksandra serbskiego.

Wiadomo, jak prędką bywa karyera tego rodzaju osobników, jak tzw. artystki, występujące na deskach rozmaitych *cafe chantants*, ale tez wiadomo, jak szybko wpadają one w otchłań nędzy. Jeszcze parę miesięcy temu nieznana jakaś szwaczka, służąca lub tym podobna istota, zarabiająca ciężko, lecz uczciwie na kawałek chleba, naraz staje się „gwiazdą", błyszczącą w jednym z zakładów stołecznych, gdzie uprawiany bywa kult podkasanej muzy. Najczęściej jednak taka gwiazda gaśnie równie prędko, jak zabłysła.

Doświadczyła tego na sobie niejaka Róża Benkoe, której portret podajemy w dzisiejszym numerze. Jako młodziutka dziewczyna, pochodząca z górnych Węgier, przybyła ona do Wiednia, gdzie była w obowiązku jako służąca.

Niezwykła piękność zwróciła na nią uwagę, tak że wkrótce z ubogiej służącej stała się szansonistką, liczącą setki wielbicieli.

Z Wiednia wyjechała Benkoe po jakimś czasie do Budapesztu, gdzie grywała w „Orfeum Imperial". Stamt. d sprowadzono ją do Belgradu. Ówczesny król Aleksander poznał ją tam i tak się w niej zakochał, że postanowił zawrzeć z nią morganatyczne małżeństwo. Z nieznanych powodów porzucił jednak ten projekt, a miejsce pięknej Węgierki w sercu młodego króla zajęła słynna Draga Maszina, która była w rezultacie przyczyną jego tragicznego zgonu.

Różę Benkoe wydalono przemocą z Serbii i wykwitowano ją niczem. Schodząc ze stopnia na stopień, dziś 32-letnia Benkoe, znalazła się wreszcie w takiem położeniu, że z powodu braku środków do życia, popełniła ubiegłego tygodnia w Wiedniu zamach samobójczy. Uratowano ją wprawdzie, lecz w przyszłości czekać ją może tylko nędza, bo przekwitające wdzięki nie zdobędą wielbicieli, a od ciężkiej pracy dawno już odwykła.



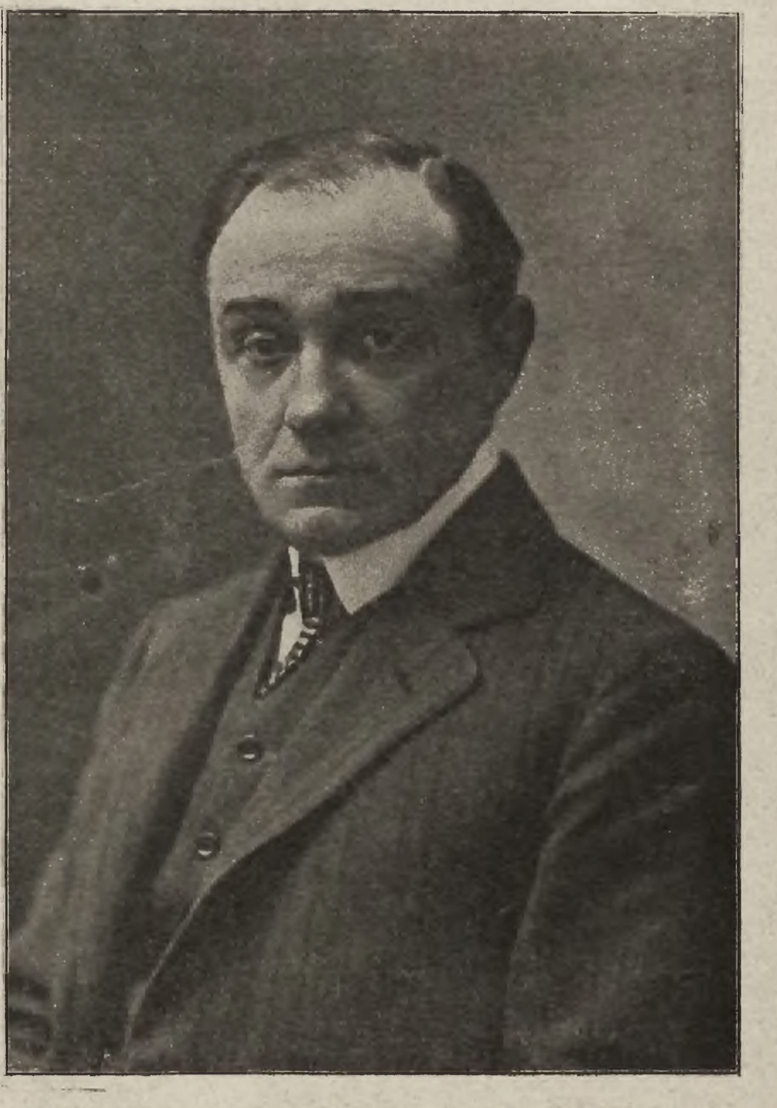
Groźby wojenne: Hr. Komura, japoński minister spraw zagranicznych.

Małżeństwo księcia Braganzy z córką miliardera.

Bogacze amerykańscy chętnie wydają swe córki za synów rodzin arystokratycznych ze starego świata, którzy polują na olbrzymie posagi Amerykanek, dając im w zamian za nie nadszarganą przeszłość i nadwerężone zdrowie. Nic więc dziwnego, że uczciwa część opinii publicznej w Stanach Zjednoczonych oburza się na podobne małżeństwa, które kojarzy z jednej strony chęć zdobycia jak największej ilości mamony, a z drugiej śmieszne upodobanie do tytułów, co zresztą właściwem jest wszystkim dorobkiewiczom, do których zaliczają się przeważnie miliarderzy z tamtej strony Oceanu.

Nie pomagają jednak protesty rozsądnie myślących Amerykanów, jak również pozostają bez skutku smutne doświadczenia. zebrane przez miliarderki amerykańskie w małżeństwach. zawartych z arystokratami europejskimi, bo o takich związkach ciągle słyszymy. Jeżeli zaś marzeniem bogatej miss amerykańskiej bywa poślubienie jakiegoś utytułowanego Europejczyka, to już szczytem marzeń jest posiąść za męża kawalera, który zaliczałby się do jednej z rodzin choć nie panujących faktycznie, lecz mających jakieś tam pretensye do tronu.

Takie małżeństwo znów przyszło w bieżącym miesiącu do skutku. Panną młodą była miss Anita Stewart, Amerykanka, posiadająca narazie tylko 20 milionów koron posagu, panem młodym zaś książę Miguel Braganza, syn także ks. Miguela, pretendenta do tronu portugalskiego. Pretendent obecny jest synem ks. Braganzy, który jako Miguel był królem portugalskim od 1828 do 1834. Ślub młodej pary odbył się w kaplicy rzymsko-katolickiej zamku Tulloch w Szkocyi, będącego własnością rodziny Stewartów. Ojciec pana młodego jest pozasłużbowym pułkownikiem w 7 pułku huzarów armii austryacko-węgierskiej. Sam pan młody służył jakiś czas w tejarmii, lecz do ślubu wystąpił w egzotycznym mun-



Fot. I. Sebald, Kraków.

Antoni Siemaszko.

durze marynarki portugalskiej, w której wcale nie służył.

Groźby wojenne.

Szybko i bez spodziewanych trudności doprowadzony do skutku pokój między Rosyą a Japonią, po zaciętej wojnie między temi obu państwami, wprawił cały świat w zdumienie. Szczególniej zaś opinia publiczna w Japonii przyjęła warunki pokoju, zawartego w Portsmouth, z niekłamanem oburzeniem. Obywatele tego kraju, poniósłszy olbrzymie ofiary na wojnę, mieli wszelkie prawo spodziewać się, że jej wynik przyniesie większe korzyści. Ponieważ zaś stało się inaczej, przeto niezadowolenie nie przestało nurtować we wszystkich sferach mieszkańców „państwa wschodzącego słońca“.

Japończycy jednak są zbyt przebiegłymi politykami, aby natychmiast dawać folgę swym uczuciom irytacyi. W Tokio starano się uspokajać opinię publiczną, lecz równocześnie czyniono możliwe wysiłki, aby zwiększyć armię lądową i przygotować ją należycie do nowej kampanii w Mandżuryi, względnie już na terenie rosyjskim poza Amurem.

Tym razem czynniki miarodajne w Rosyi okazały się czujniejszymi, niż przed sześciu laty. Przygotowania japońskie nie uszły ich uwagi, jak również zwrot, jaki dokonywa się w Chinach pod hasłem walki z ludźmi białej rasy i solidarności z pokrewnymi Japończykami. Prasa rosyjska codziennie podaje wieści z dalekiego Wschodu, które zdawałyby się wskazywać, że wybuch ponownej wojny między Japonią a Rosyą wisi tylko na włosku.

Gdybyśmy nawet uważali doniesienia prasy rosyjskiej za przesadzone, to przecież pozostanie faktem — co stwierdzają doniesienia z innych źródeł — że Japonia gorączkowo gotuje się do wojny, w której przeciwnikiem jej może być tylko Rosya. O tem, jakoby Japonia zomierzała stoczyć wojnę ze Stanami Zjednoczonymi o posiadanie Filipinów, nie może być w tej chwili mowy, zatem jako jej przeciwnik zostaje tylko Rosya.

Bądź, jak bądź, wszystko wskazuje, że stoimy w przededniu ważnych wypadków na dalekim Wschodzie i z tego powodu podajemy portret barona Kamury, japońskiego ministra spraw zagranicznych. Energiczny ten i przebiegły mąż stanu dzierży obecnie w swem ręku losy pokoju i wojny. Nieogra niczone zaś zaufanie, jakiem go obdarza mikado Mutsu-Hito, łącznie z usposobieniem wszystkich mieszkańców Japonii, ułatwiają mu przeprowadzenie polityki, której ostatnim aktem będzie prawdopodobnie aneksya Korei i wystąpienie zbrojnych zastępów japońskich na obszernych polach Mandżuryi, gdzie już tyle świetnych zwycięstw odniosły.

Antoni Siemaszko.

Scena krakowska, która w ciągu ostatnich lat postradała parę wybitnych i wysoce utalentowanych sił artystycznych, pozyskała w zamian pokaźny zastęp młodych adeptów sztuki. Można się spodziewać, iż pod wytrawną i sumienną rękę obecnej dyrekcyi wyrobią się one i wybiją na pożytek polskiego teatru. Jeden tylko przybył artysta skończony juz i wytrawny, siła wręcz niepospolita, a to Antoni Siemaszko.

Wybitnym artystą jest Siemaszko nie tylko ze względu na piękną już i pełną zasług przeszłość, nietylko ze względu na wielki talent, który pozwala zaliczać go do pierwszych polskich aktorów, ale i ze względu na swój wielki szacunek dla sztuki scenicznej, ze względu na poważne i pełne zamiłowania jej traktowanie. I z tego powodu jest Siemaszko dobrym wzorem dla swego otoczenia młodego, które może i powinno uczyć się od niego zapału i miłości dla teatru.

Siemaszko urodził się 1864 r. w Krzewinie, majątku rodzinnym, w gubernii Kowieńskiej. Po ukończeniu studyów gimnazyalnych w Kownie, wstąpił do dramatycznej szkoły Derynga, tej sławnej szkoły warszawskiej, z której wyszło tylu wielkich polskich artystów i gdzie wspólnie z nim kształcili się podówczas Frenkel, Rapacki, Mielnicki i t. d.

W r. 1879 wystąpił Siemaszko po raz pierwszy w Teatrze Małym w Warszawie, w sztuce Kraszewskiego „Kosa i kamień“. Został też zaraz zaangażowany do ról komicznych. Z Warszawy przeniósł się do Petersburga, gdzie grywał w polskiej trupie Teksla, potem do Lwowa, za dyrekcyi Z. Przybylskiego, a dalej do Krakowa. Tu zdobył już stanowisko pierwszorzędne, cieszył się też uznaniem krytyki a wielką sympatyą publiczności.

Jako komik charakterystyczny, potrafił Siemaszko uchwycić zawsze właściwy ton, pełen humoru naturalnego, bez szarży, bez przesady. Bardzo inteligentny i wykształcony, opracowywał każdą swą rolę z nadzwyczajną sumiennością, to też kreacye jego były istnymi majstersztykami. Widział ich Kraków dość, gdyż Siemaszko pracował tu za dyrekcyi Gliksona i Pawlikowskiego.

W r. 1900 przeniósł się napowrót do Warszawy i grywał w Teatrze Rozmaitości aż do r. 1908, w którym został aangażowany do Łodzi, skąd obecnie powrócił do Krakowa, aby pracować na tej scenie, na której talent jego tak pięknie się rozwinął i dojrzał.

W ciągu wielu lat artystycznej działalności rozszerzył i pogłębił Siemaszko swój repertuar. Dziś grywa przeważnie role charakterystyczne, a grywa je z wielkiem powodzeniem. Niezrównany jest zwłaszcza w typach Fredrowskich, które kreuje z szczególnem zamiłowaniem. Nawet surowy w ocenie gry kolegów świat aktorski przyznaje to bez zastrzeżeń Siemaszce. Publiczność krakowska miała zresztą sposobność stwierdzić to w ciągu ostatnich dni w „Panu Geldhabie“, gdzie Siemaszko grał rolę tytułową i w „Zemście“, gdzie grał Cześnika Raptusiewicza.

Bardzo więc cennym nabytkiem jest ten artysta dla sceny krakowskiej, której oby służył w jak najdłuższe lata z tym samym zapałem i zamiłowaniem sztuki, jak dotychczas.

Nadesłane.

C. k. Dyrekcya kolei państw. ogłasza:

C. k. Dyrekcya kolei państwowych udziela do wiadomości następujący komunikat:

„Rozkład jazdy wydany dla tutejszego okręgu w dniu 1. maja b. r. zostaje, po wyłączeniu pociągów t. z. sezonowych, ważnym i na sezon zimowy t. j: od dnia 1. października b. r. do końca kwietnia r. 1910.“

C. k. Dyrektor kolei państwowych:

Horoszkiewicz.

Z półek księgarskich.

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego Encyklopedyi ludowej w Krakowie rozpoczęła wychodzić pod Redakcyą Z. Heryuga **Encyklopedya ludowa,** składająca się z kilkudziesięciu artykułów zasadniczych, rozpatrujących wszelkie przejawy twórczości ducha ludzkiego. Artykuły te wydane zostaną w formie oddzielnych broszur, których treść zgrupować się da w czternastu podstawowych działach.

Na całość złoży się w ten sposób około 130 broszur ogólnej objętości około 150 arkuszy tekstu z przeszło 100 tablicami, które zajmą około 30 arkuszy. Cena każdej broszury, stanowiącej dla siebie odrębną całość, wynosić będzie zależnie od objętości 25 do 62 hal. (10—25 kop.) Prenumeratorzy zamawiający naraz 10 broszur, kot ystać będą z 20% rabatu, przy wniesieniu całkowitej prenumeraty koszt Encyklopedyi obniży się o 33⅓%.

Dotychczas opuściły prasę:

Broszura wstępna: *Jaką winna być Encyklopedya ludowa.* Opracował Zygmunt Heryng.

Broszura 1. *Co da Encyklopedya ludowa robotnikom i włościanom,* opracował Zygmunt Heryng.

Broszura 2. *Z czego powstaje pijaństwo i jak z nim walczyć,* opracowała Dr. Zofia Daszyńska-Golińska.

Broszura 3. *Jak osuszać za mokre i jak nawadniać za suche grunty,* opracował inżynier S. Turczynowicz.

Broszura 4. *Czy kobieta powinna mieć te same prawa, co mężczyzna?* opracowała K. Bujwidowa.

Skład główny w Krakowie *w księgarni Ludowej K. Wojnara* i w Warszawie w *Księgarni Naukowej.*

Macierz Polska wydała w ciągu wakacyi trzy doskonałe dziełka. *„Puławy“* opisał prof. Władysław Jankowski. Czytelnik ogląda pałac puławski, poznaje rodzinę Czartoryskich, jej zasługi, życie na dworze, zawiera znajomości z otoczeniem księstwa, z gośćmi, poetami i poezyna rozumieć, czem były Puławy dla Polski. Piękną pracę zdobią liczne ryciny. Książka wyszła z dochodów fundacyi im. T. Kościuszki

Autorką dwóch innych książek jest Jadwiga z Łobrzowa (p. Strokowa,) znana w Polsce z doskonałych prac dla ludu. W powieści z czasów powstania z r. 1863. p. t. *„Za naszą i waszą wolność“* kreśli p. S. z miłością sylwetkę Marcina Borelowskiego-Lelewela, stara się w nim dać wzór robotnika-obywatela; w gawędzie p. t. *„Rodzinny dom“* wykłada w znakomity, popularny sposób zasady wychowania domowego i warunki, podstawy szczęśliwego współżycia wielu członków rodziny pod jednym dachem, a pisze z takiem wewnętrznem przekonaniem, że nie podobna, by na czytelnika dziełko jej nie wywarło wpływu uszlachetniającego.

Tomek 90. stanowią *Opowiadania rozmaite* przez Kaz. Królińskiego.



Rozwiązanie zagadek z Nr. 37.

Szarada: Serce.
Łamigłówka w figurze: Ogniem i mieczem.
Logogryf: Lenartowicz. Zachwycenie.
Zagadka sylabowa: Manewry jesienne.
Zagadka: Rut, Tur.
Logogryf: Jan Matejko.
Szarada: Kareta.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: H. Osmulska Kraków, M. Trepkówna Radom, E. Sawicki Skała, Z. Kozicki Radłów, W. Marszycka Tarnopol, Z. Ciechanowski Stary Sambor, S. Rogoyski Bochnia, J. Januszkiewiczówna Zakopane, N. Kierska Truskawiec, W. Trąbczyńska Bytom, S. Knapik Kołomyja, J. Szczęsnowicz Płock, A. Biliński Tarnopol, H. Minasowicz Rzeszów, S. Wiśniowski Kraków, S. Karwowski Poznań, B. Langer Kraków, J. Stepański Kraków, J. Dobrucki Kołomyja, M. Gabrysiewicz Ottynia, L. Babicki Kraków, J. Arnold Lwów, M. Sękowski Podgórze, S. Krzyżanowski Przemyśl, J. Germański Podwołoczyska, M. Klappholz Rzeszów, J. Obst Tarnów, J. Romanowski Kraków, J. Tabor Rzeszów, Z de Boulangé Gawłówek, K. Lohn Warszawa, S. Naganowski Warszawa, M. Łopatkiewicz, M. Bartmańska i Z. Więckowski Krynica, J. Piękoś Brody, M. Januszówna Przemyśl, G. Hajduk J. Winkowska Tarnopol, F Gebhardt Muszyna, J. Planecki Krynica, St. Zaremba Kraków, J. Łapiński Rzeszów, M. Osmulski Kraków, J. Kapliński Tarnopol, J. Pilecki Rzeszów, W. Weber Krosno, M. Potocka Kraków, J. Zabierzewski Bochnia, B. Berger Lwów, L. Witekowa Krasne, M. Serbańska Budzanów, M. Małaczyński Pikułowice, J. Wolski Przemyśl, O. Górkowa Chyrów, L. Lemiszewski Kołomyja, M. Liskowacki Kraków, M. Kościński Żarki, W. Rapacz Żarki, K. Fuchs Czeremchów, J. Ostersetzer Lwów, S. Lindenbaum Czerniowce, Z. Trzemeski Kielce, K. Jaskólski Warszawa, S. Krupski Łódź, F. Wolf Kraków, A Dziewoński Przemyśl, H. Drzymachowski Kraków, M. Bobrzyński Kraków, L. Reiter Stryj, O. Lewensohn Kraków, B. Malicki Kraków, J. Jahoda Cieszyn, R. Lewicki Zakopane, Lemański Warszawa, J. Rotter Rzeszów, K. Platowski Lwów, M. Flakowska Horożanna wielka, L. Zimet Jasło, W. Czeppe Tarnobrzeg, C. Kornowska Warszawa,

Koło T. S. L. Millie Bukowina, Kasyno i Czytelnia w Żurawnie, Z. Koniński Petersburg, J. Grochowski Wiśnicz, K. Steiermann Warszawa, L. Glińska Kalisz, S. Topolnicki Rzeszów, R. Herz Trembowla, J. Walicki Podwołoczyska, M. Rybicka Tarnów, M. Stępień Kraków, M. Kulinowska Opatów, J. Rogoziński Lwów, M. Liskowacki Krosno, J. Wojciechowski Lwów, Z. Wiśniewski Lwów M. Roznerska Rzeszów, B. Michalec Kraków, St Krzyżanowski Kraków, B. Mulecki Kraków, W. Ostrowski Rzeszów, M. Łopatkiewicz, Dąbrowa.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **M. Łopatkiewicz Dąbrowa.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

MAURYCY LEBLANC.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

4 (Ciąg dalszy).

Doktór podniósł się i poszedł za komisarzem. Przedstawienie skończyło się, a on jeszcze nie wrócił. Pani Delatte bardzo niespokojna udała się do komisaryatu. Tam znalazła prawdziwego Thezarda i przekonała się ku swemu przerażeniu, że człowiek, który uprowadził jej męża, był tylko oszustem. Rozpoczęte natychmiast poszukiwania dowiodły, że doktór siadł do samochodu, który oddalił się spiesznie w kierunku placu Zgody. W następnym numerze poimformujemy czytelników o dalszym ciągu tej nieprawdopodobnej przygody.“

Mimo całej niezwykłości tej nowiny, była ona jednak prawdziwą. Wkrótce nastąpiło jej wyjaśnienie i *Wielki Dziennik* potwierdzając ją w wieczornem wydaniu, podał zarazem i jej zakończenin.

Finał historyi i początek wniosków.

„Dzisiaj rano o dziewiątej godzinie doktór Dellattre został odwieziony na ulicę Duret pod numer 78 samochodem, który natychmiast szybko się oddalił. Pod numerem tym znajduje się klinika doktora Delatre, do której przybywa on codziennie rano o tej właściwie porze. Gdyśmy zjawili się u doktora, który konferował wówczas z szefem służby bezpieczeństwa, zostaliśmy zaraz przyjęci. To tylko mogę panu powiedzieć — odrzekł na nasze zapytanie — iż trakrowano mnie z wielkimi względami. Trzej moi towarzysze okazali się ludźmi bardzo miłymi, nadzwyczaj uprzejmymi, dowcipnymi i rozmownymi, co było nie do pogardzenia w tej długiej podróży.

— Ile czasu mogła ona trwać?

— Około czterech godzin w jedną stronę tyleż z powrotem.

— A jaki cel był tej podróży?

— Zawieziono mnie do chorego, którego stan wymagał natychmiastowej pomocy chirurgicznej.

— I operacya ta udała się?

— Tak, lecz następstwa są niebezpieczne. Tutaj odpowiadałbym za chorego. Pan...... w warunkach, w jakich się znajduje...

— Warunki niekorzystne?

— Jak najgorsze... Pokój w zajeździe.... i absolutna prawie niemożliwość jakichkolwiek opatrunków.

— Cóż więc może go ocalić?

— Cud.... a także jego nadzwyczaj silna budowa ciała.

— Czy nic więcej nie może pan powiedzieć o tym dziwnym pacyencie?

— Nie, nie mogę. Przedewszystkiem przysiągłem, następnie otrzymałem dziesięć tysięcy franków dla mych ubogich pacyentów. Jeżeli nie zachowam milczenia, suma ta zostanie mi odebraną.

— Cóż znowu! Czy pan w to wierzy?

— Owszem, wierzę najzupełniej. Wszyscy ci ludzie wydali mi się nadzwyczaj stanowczymi.

Te wyjaśnienia otrzymaliśmy od doktora Delattre. Dowiedzieliśmy się także, że szef policyi mimo wszelkich ulegań nie zdołał uzyskać dokładniejszych informacyi o dokonanej operacyi, ani o miejscach, przez które przejeżdżał samochód. Dość trudno więc jest poznać całą prawdę.

Prawdej tej, której redaktor, jak sam wyznał, nie był w stanie poznać, bardzo łatwo można było domyślić się przez proste połączenie z faktami, które rozegrały się poprzednio w zamku Ambrumesy i które wszystkie dzienniki podały z najdrobniejszymi szczegółami. Pomiędzy zniknięciem rannego włamywacza i porwaniem sławnego chirurga, istniała ścisła łączność. Śledztwo wykazało zresztą słuszność tej hypotezy. Idąc za śladem pseudo dorożkarza, który uciekł na rowerze, udało się stwierdzić, iż przejechał on przez las Arques, oddalony o piętnaście kilometrów i że stamtąd po porzuceniu w rowie roweru, udał się do miasteczka Saint Nicolas, skąd wysłał następującą depeszę:

A. L. N. Biuro 45, Paryż.

Położenie rozpaczliwe. Operacya konieczna. Wysłać znakomitość przez narodową czternaście.

Był to dowód stanowczy. Wspólnicy uprzedzeni w Paryżu zwinęli się żywo. O godzinie dziewiątej wieczorem wysłali znakomitość przez szosę narodową numer czternasty, która przechodzi przez las Arques i kończy się w Dieppe. W tym czasie, podpalając stodołę i w tdn sposób uniknąwszy czujności żandarmów, banda włamywaczy zdołała unieść rannego dowódcę do oberzy, w której po przybyciu doktora dokonano operacyi o drugiej godzinie przed świtem. Co do tego punktu nie było najmniejszej wątpliwości. W kilku okolicznych miasteczkach stwierdził główny inspektor Ganimard, wysłany umyślnie z Paryża wraz z inspektorem Folenfant, przejazd poprzedniej nocy samochodu. Toż samo i na drodze z Dieppe do Ambrumesy. Jeżeli na pół kilometra przed zamkiem zgubiono nagle ślad samochodu, natomiast stwierdzono liczne odciski stóp między małemi drzwiami w parku a ruinami klasztoru. Ponadto zauważył Ganimard, iż zamek małych drzwi był otwierany wytrychem.

W ten więc sposób wszystko zostało wytłomaczone. Pozostawało jeszcze odnalezienie oberży, o której wspominał doktór. Było to łatwo zadanie dla inspektora Ganimarda, cierpliwego szperacza i starego praktyka policyjnego. Liczba oberży jest dość ograniczona a ze względu na niebezpieczny stan rannego, musiała to być jedna z sąsiednich Ambrumesy. Ganimard i brygadyer Quevillon zabrali się do poszukiwań. W obrębie pół kilometra naprzód, potem kilometra i wreszcie pięciu kilometrów, przejrzano i zbadano wszystko, co mogłoby uchodzić za oberżę, lecz wbrew wszelkim oczekiwaniom umierający pozostawał niewidzialnym. Ganimard szukał z zaciętością. Wrócił do zamku w sobotę wieczorem z zamiarem prowadzenie poszukiwań w niedzielę. Jakoż w niedzielę rano dowiedział się, iż patrol żandarmów widział tej nocy sylwetkę jakiegoś człowieka, kryjącego się na drodze za murem. Czyżby to był wspólnik, krózy przybywał po informacyi? Czyż należy przypuszczać, że szef bandy nie opuścił klasztoru lub jego okolic? Wieczorem poprowadził Gaminard otwarcie oddział żandarmów w stronę fermy, a sam jak również i Folenfant usadowił się za murem w pobliżu małych drzwi. Na krótko przed północą jakiś człowiek wysunął się z lasku, poszedł między nimi, przystąpił próg i dostał się do parku. Widzieli go jak przez trzy godziny błądził wśród ruin, schylając się, wdzierając na kolumny, pozostając na długie chwile nieruchomym. Potem zbliżył się do drzwi i znowu przeszedł między dwoma inspektorami. Ganimard schwycił go za kołnierz, podczas gdy Folenfant objął go w pół. Nie opierał się wcale i najspokojniej dał sobie związać ręce i odprowadzić do zamku. Gdy jednak chcieli go badać, odrzekł, iż nie ma potrzeby im odpowiadać i że będzie czekał na przyjazd sędziego śledczego Gdy w poniedziałek o dziewiątej rano przybył pan Filleul, Ganimard powiadomił go zaraz o schwytaniu, jakiego dokonał. Kazał przyprowadzić więźnia. Był to Izydor Beautrelet.

— Pan Izydor Beautrelet — zawołał wesoło sędzia, podając mu rękę. Co za miła niespodzianka! Nasz dzielny dedektyw-amator tutaj! nam na pomoc!.. Panie inspektorze, pozwoli pan, że przedstawię pana Izydora Beautreleta, ucznia retoryki licenm Janson de Sailby.

Ganimard wydał się trochę zmieszany. Izydor skłonił mu się głęboko i zwrócił się do pana Filleula:

— Zdaje mi się, panie sędzio, iż pan otrzymał dobre o mnie informacye?

— Doskonale! Przedewszystkiem był pan istotnie w Veules w chwili, gdy pannie de Saint-Veran zdawało się, iż widziała pana w pobliżu zamku. Nie wątpię, że stwierdzimy identyczność pańskiego sobowtóra. Następnie jest pan rzeczywiście Izydorem Beautreletem, uczniem retoryki i do tego doskonałym uczniem, pracowitym i najlepszego sprawowania.

— Wobec więc tego!....

— .... Jest pan wolny.

— Zupełnie wolny?

— Najzupełniej, Stawiam tylko jeden mały, bardzo mały warunek. Sam pan przyzna, że nie mogę puścić człowieka, który daje narkotyki, ucieka przez okna i którego następnie chwyta się na włóczęgostwie; słusznie więc można wymagać za to pewnego zadośćuczynienia.

— Słuchałem.

— Powrócimy do przerwanej rozmowy i powie mi pan, dokąd zaszedł w swych poszukiwaniach.... Przez te dwa wolne dnie mógł pan zajść bardzo daleko.

Ganimard zamierzał wyjść, lekceważąco odnosząc się do tego rodzaju badań, zatrzymał go jednak sędzia.

— Ależ, panie inspektorze, pańskie miejsce jest

tutaj.... Zapewniam pana, że pan Izydor Beautrelet zasługuje na to, by go słuchać. Wyrobił on sobie w licenm reputacyę obserwatora, którego uwagi nic nie może ujść i jego koledzy widzą w nim, jak mnie zapewniano, rywala Sherlocka Holmesa.

— Istotnie — rzekł Ganimard ironicznie.

— W rzeczy samej! Jeden z nich napisał mi: „Jeżeli Beautrelet twierdzi, że coś wie, trzeba mu wierzyć i to co powie, proszę nie wątpić, że będzie czystą prawdą.“ Panie Izydorze, oto chwila, w której może pan stwierdzić zaufanie swych kolegów. Proszę więc, niech pan nam da tę czystą prawdę.

Izydor słuchał tego uśmiechnięty i odrzekł:

— Jest pan okrutny, panie sędzio. Żartuje pan sobie z biednych uczniów, którzy bawią się jak mogą. Ma pan jednak słuszność i postaram się nie dać powodów do nowych żartów.

— Jeszcze pan nie jest chyba tego pewny, panie Izydorze.

— Rzeczywiście, przyznaję się z pokorą, że nic nie wiem. Gdyż nie mogę nazwać żadną wiadomością ustalenia dwóch lub trzech punktów, które nie uszły i pańskiej uwagi.

— Naprzykład?

— Naprzykład przedmiot kradzieży.

— Ach, więc pan naprawdę wie, co skradziono?

— Jak również i pan, o czem nie wątpię. Jest to nawet pierwsza rzecz, którą stwierdziłem, wydało mi się to bowiem najłatwiejszem.

— Czyż rzeczywiście najłatwiejszem?

— Owszem. Potrzeba było do tego rozumowania.

— Nic więcej. I to rozumowanie?

— Oto ono, lecz bez żadnych komentarzy. Z jednej strony zaszła kradzież, ponieważ obie panny zgodnie to twierdzą i istotnie widziały dwóch uciekających ludzi z jakiemiś przedmiotami.

— Zaszła rzeczywiście kradzież.

— Z drugiej strony, nic nie zniknęło, ponieważ utrzymuje to pan de Gesvres, a on najlepiej może o tem wiedzieć,

— Tak, nic więc nie zniknęło.

— Z tych dwóch faktów wypływa nieuchronnie ten wniosek: jeżeli zaszła kradzież a nic nie zniknęło, w takim razie przedmiot skradziony zastąpiono takim samym, zupełnie identycznym. Możebnem jest, pośpieszam dodać, że fakty nie usprawiedliwią tego rozumowania, utrzymuję jednak, że ono jest pierwsze, jakie winno nam się nasunąć i że nie mamy prawa odrzucać go.

— Istotnie.... istotnie.... powtarzał sędzia, zainteresowany tem dowodzeniem.

— Cóż więc, ciągnął dalej Izydor, mogło wzbudzać w tym salonie chciwość włamywaczy? Dwie rzeczy. Najpierw dywany. Lecz nie o nie tu chodzi. Starożytne dywany nie dają się naśladować i wszelkie oszustwo samo się rzuca w oczy. Pozostają więc cztery obrazy Rubensa.

— Co pan mówi?

— Mówię, że Rubensy, wiszące na ścianie są fałszywe.

— Niemożliwe.

— Są fałszywe a priori i bez żadnej apelacyi.

— Powtarzam panu, że to niemożliwe.

— Będzie temu już rok, panie sędzio, jak pewien młody człowiek, który nazwał się Charpenais, przybył do zamku tego i prosił o pozwolenie skopjowania obrazów Rubensa. Pozwolenia tego udzielił mu hrabia de Gesvres. Codziennie przez pięć miesięcy Charpenais pracował w tym salonie od rana do wieczora. I jego właśnie kopje wraz z naśladowanemi ramami zajmują obecnie miejsce czterech wielkich obrazów, jakie hrabia de Gesvres otrzymał w spadku po swoim wuju.

— Dowód?

— Niema potrzeby żadnych dowodów. Obraz jest fałszywy, ponieważ jest fałszywy i zdaje mi się, że nawet jest zbytecznem badanie tych obrazów

Panowie Filleul i Ganimard spojrzeli na siebie, nie ukrywając swego zdziwienia. Inspektor nie myślał już odchodzić.

Sędzia wreszcie szepnął:

— Należałoby usłyszeć zdanie pana de Gesvres.

I Ganimard potwierdził.

— Istotnie, trzeba go zapytać.

Kazali poprosić hrabiego do salonu.

Było to prawdziwe zwycięstwo, odniesione przez młodego ucznia Beautrelet, jednak wydawał się nieczułym na to małe zadowolenie miłości własnej i ciągle uśmiechnięty, spokojny, bez najmniejszej ironji, oczekiwał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Karol Jasiński, Lwów.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy, których początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą imię i nazwisko polskiego poety, końcowe zaś, czytane w tym samym kierunku, imię i nazwisko polskiego hetmana.

□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □
□ — — — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Część składowa kwiatu. 2. Bogini sprawiedliwości. 3. Filozof grecki. 4. Komedyopisarz polski. 5. Postać biblijna. 6. Inaczej osłabienie. 7. Wada każdego człowieka. 8. Bóg grecki. 9. Postać z Grażyny. 10. Urzędnik clowy. 11. Bohater węgierski. 12. Przezwisko, dawane mieszkańcom Ameryki. 13. Znany w historyi rosyjski mąż stanu. 14. Ptak z rodziny brodźców. 15. Polska miara. 16. Inaczej natręt.

Szarada.

Ułożył J. K. Januszewski, Podgórze.

Gdy dwu pierwszych przebrzmią tony
I dźwięk strun ostatni zginie,
Żegnam ich melodye z żalem,
Bo duch mój w nich rozstęskniony,
Pierwsza trzecia jest metalem.
W południowej gdzieś krainie
Rośnie całość, jest nam znaną,
W każdym domu używaną.

Logogryf.

Ułożył J. Zirler z Rohatyna.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstał szereg wyrazów o podanem niżej znaczeniu. Litery w miejsce kwadratów wstawione w kierunku pionowym z góry na dół i w dwu poziomych dadzą nazwiska trzech znanych żeglarzy napowietrznych, o których w ostatnich czasach wiele mówiono.

□
□
□
□ □ □ □ □ □ □
□
□
□
□
□
□
□
□
□
□
□
□
□ □ □ □ □ □ □
□
□
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dopływ Renu. 3. Jezioro w Rosyi. 4. ?. 5. Były sułtanat w Środkowej Azyi 6. Zwierzę domowe. 7 Spółgłoska. 8. Imię żydowskie. 9. Współczesny poeta polski. 10 Utalentowany dramaturg polski. 11. Urząd żydowski. 12. Przyjaciel Mickiewicza. 13. i 14. Spółgłoska. 15. Rzeka we Włoszech. 16. Imię angielskie. 17. ?. 18. Nadmorska twierdza we Francyi. 19. Inaczej okres czasu. 20. Spółgłoska.

Szarada.

Ułożyła H. Mokrzycka, Romanówka.

Druga i pierwsza smaczna i zdrowa,
Wieśniaczych stołów zwykła zastawa,
Robią ją z zboża, każdemu znana
Ta popularna u nas potrawa.
Pierwsze i trzecie strojne nakrycie,
Od wschodnich Indów przez nas przyjęte.
Noszą je panie w zimie i w lecie,
Z zmianą dwu liter, imię przeklęte!
Całość, zwierzęta krwiożercze, dzikie.
Niestety, ludzie są także tacy,
A jako przykład klasyczny, mogą
Służyć w tym względzie, sławni Prusacy!

Logogryf.

Ułożył A-B. Kraków.

Z podanych zgłosek ułożyć szereg wyrazów według przytoczonych poniżej znaczeń. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół wskażą nam okoliczność, która nabawia obecnie strachu mieszkańców Galicyi.

a, a, al, ba, bral, car, chów, ci, ci, cy, czer, dy, dy, e, ga, gi, go, he, i, in, la, li, lo, ni, ni, os, peg, ra, ra, ran, raul, ru, ta, tar, ty, tros, twa, wa, wiec, win, ybbs.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość we Włoszech, sławna z łomów marmuru. 2. Niewolnicy w Sparcie. 3. Naród na Syberyi. 4 Statek napowietrzny. 5. Ludzie uczeni. 6. Dość rzadkie imię męskie. 7. Amerykańska roślina z rodziny amarylkowatych. 8. Miasto w Kanadzie. 9. Cieśnina w Europie (i miasto tego nazwiska). 10. Ptak z rodziny pływaków. 11. Kraj w Europie. 12. Płaskowzgórze w Azyi środkowej. 13. Miejscowość pod Krakowem. 14. Miejscowość w Austryi niższej. 15. Barwik roślinny.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Kazimierza Glińskiego:* **„Zaloty króla jegomości“.** Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.